

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1



2



3

1

(77) 2014

Rok Herberta ♦ Homilia ks. Wolczańskiego ♦ P. Pencakowski pisze o Lwowie (1) ♦ A. Kobak o prof. Szajnosze ♦ S. Bołdok wprowadza w lwowskie środowisko plastyczne XIX w. ♦ Rozmowa J. Palucha z ks. A. Górskim ♦ B. Wernichowska: Lwów się bawi ♦ Proza A. Kalmusa ♦ Kościół św. Marii Magdaleny wrócił do swej nazwy ♦ Książki

OSTATNIA CHWILA PRZED JUBILEUSZEM

Numer, który Państwo trzymają w rękach, otwiera dwudziesty rok wydawania naszego kwartalnika. Począwszy od 1995 r., wychodził dotąd przez lat dziewiętnaście, a w tym czasie ukazało się formalnie 76 numerów, ale osiemdziesiąt zeszytów*.

Równocześnie numer ten otwiera rok jubileuszowy Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Oddział ten powstał w lutym 1989 r., w kilka miesięcy po powołaniu Towarzystwa we Wrocławiu (we wrześniu '88), gdzie powstał jego Zarząd Główny. W całym powojennym Kraju zawiązało się kilkadziesiąt oddziałów (w *apogeum* była ich blisko setka), a dziś ciągle czekamy na podjęcie historycznego opracowania dziejów tej ekspatrianckiej organizacji, która jest wszak istotnym elementem współczesnych dziejów naszego Narodu. Sprawa niestety – z powodów nie tylko obiektywnych – opóźnia się, co niezwykle utrudni w przyszłości zebranie odpowiednich dokumentów i relacji. Nasz Oddział opracował – jak Czytelniczki pamiętają – program prac historycznych, został on parokrotnie opublikowany, działanie to niestety nie znalazło echa tam, gdzie powinno. Sprawa nie została poruszona nawet w najbardziej właściwym miejscu i czasie, jakim mógł stać się – po raz ostatni? – jubileusz 25-lecia.

Zwróćmy przy okazji uwagę, że materiały do takiego opracowania – oprócz resztek ludzkiej pamięci – znajdują się dziś w archiwach oddziałów (a te, być może trafią do zbiorów archiwalnych różnych instytucji w kraju. Nam wiadomo o Ossolineum, o warszawskim Muzeum Niepodległości, o Bibliotece Jagiellońskiej. I gdzie jeszcze?). Po iluś tam latach – czy nasi następcy albo całkiem nie związani historycy zainteresują się tym? Czy będą mieli świadomość, że to jest historia narodowa? I wiedzę?

Jedno jest pewne: nasze schodzące pokolenie powinno być przytomne póki czas, moi Drodzy.

* * *

Nieco inny temat, bardziej optymistyczny. Już pisaliśmy o przygotowaniach do jubileuszu XXV-lecia (CL 4/13: I i II strona okładki) – to był artykuł, który owe lata wstępnie sumuje (z mnóstwem przypisów), ale trzeba go będzie rozszerzyć i wzbogacić. W końcu ćwierć wieku to nie byle co...

No właśnie, chcemy do uroczystości owego jubileuszu wydać trzy książeczki. Pierwsza – to będzie (jak co 5 lat) antologia najważniejszych i najciekawszych (naszym zdaniem!) tekstów, jakie się znalazły w ostatnich dwudziestu zeszytach CL (57–76). W drugim numerze (2/14) zamieścimy poemat napisany na rok kanonizacji Jana Pawła II przez dobrze nam znanego Mariusza Olbromskiego, poetę i znakomitego działacza na rzecz polskości – zwłaszcza młodzieży zza jałtańskiego kordonu – który opisuje dwie historyczne podróże polskiego Papieża na nasze rodzinne strony: w latach 1991 i 2001.

I wreszcie trzecia książeczka, ozdobiona jak na X-, XV- i XX-lecie herbami naszych miast – będzie zawierać relacje z minionego pięciolecia (bo wcześniej sze już opisywaliśmy). Cieszymy się z góry, czego życzy

Redakcja

Rok Herberta

Dziewięćdziesiąta rocznica urodzin
Lwów 1924 – Warszawa 1998



Do rzeki

Rzeko – klepsydro wody przenośnio wieczności
wstępuję w ciebie coraz bardziej inny
że mógłbym być obłokiem rybą albo skałą
a ty jesteś niezmienna jak zegar co mierzy
metamorfozy ciała i upadki ducha
powolny rozkład tkanek i miłości

ja urodzony z gliny
chcę być twoim uczniem
i poznać źródło olimpijskie serce
chłodna pochodnio szumiąca kolumno
opoko mojej wiary i rozpacz

naucz mnie rzeko uporu i trwania
abym zasłużył w ostatniej godzinie
na odpoczynek w cieniu wielkiej delty
w świętym trójkącie początku i końca

Napisał osiem tomików poetyckich, kilka dramatów, zbiór esejów. Bierze pióro do ręki jedynie w chwili autentycznej potrzeby pisania. Pisze nie po to, aby układać piękne zdania, ale by atakować zło, wskazywać zagrożone czy przemijające wartości, by uzmysławiać panom świata ważność dziedzictwa, jakim jest historia i kultura.

Herbert mówi o sprawach złożonych jasno i prosto. Oszczędza wielkich słów. Ale też z jego tekstów emanuje to, czego przeważnie nie znajdujemy na śmietnikach współczesnej sztuki: godność, odpowiedzialność, wierność sumieniu, potrzeba absolutnej prawdy, poczucie obowiązku. Herbert poddaje te i inne wartości próbie konfrontacji ze współczesnością. I wychodzą z tej poetyckiej próby nieco odmienione, ale nadal silne i ważne.

Herbert należy do wąskiego grona pisarzy, którzy przyznają się publicznie, iż są moralistami. Ale walor etyczno-moralny jego głęboko filozoficznych wierszy nie ma nic wspólnego z dydaktyką czy jałowym gadulstwem.

Autor *Pana Cogito* to mistrz poetyckiej przypowieści i uogólnienia. Pisząc o Fortynbrasie, prokonsulu czy obłożonym Mieście potrafi zabrać głos w sprawie współczesnych kontekstów politycznych, a równocześnie wskazać czytelnikowi modelowe postawy, występujące niezależnie od miejsca i czasu. Zwłaszcza do perfekcji opanowana umiejętność operowania wielką metaforą przyniosła mu uznanie poza granicami Polski.

W jednym z wywiadów ten heroiczny humanista powiedział między innymi: *Może świat rzeczywiście nie ma wielkiego znaczenia, wiadomo, że życie nie będzie wiecznie trwało, wszystko się skończy – Iliada, katedry, Picasso. Lecz potrafię cierpieć, walczyć o lepszy ład moralny; przy pomocy rzeczy śmiesznej – pisania wierszy – staram się bronić spraw w moim przekonaniu ważnych. Istnieje przecież jeszcze możliwość układania i odczytywania słów – w tym jest odrobina nadziei. Sens cierpienia, ścierania się z rzeczywistością – to cała sprawa. Wiem, że nie potrafię zbawić mego narodu, czy choćby współlokatorów tej samej kamienicy – ale muszę postępować tak, jakby to było możliwe. Muszę się starać. Nie ma takiej władzy ziemskiej, która byłaby w stanie ten sens mi odebrać. Uczynić poczucie sensu postawą ogólną – to chyba największe zadanie.*

Andrzej Kaliszewski

Ks. prof. dr Józef Wołczański

OD OBRONCÓW LWOWA CHCEMY UCZYĆ SIĘ PATRIOTYZMU I SZLACHETNOŚCI

*Kazanie wygłoszone w czasie mszy św.
za Orłęta Lwowskie 22 listopada 2013 r.
w Bazylice Mariackiej w Krakowie*

Naszą pamięcią, modlitwą ogarniamy dzisiaj Obrońców Lwowa w 95. rocznicę oswobodzenia miasta spod władzy wojsk ukraińskich i chcemy przypomnieć sobie ich heroiczną postawę, postawę Orłąt Lwowskich, młodych ludzi, dziewcząt i chłopców, którzy nie zważając na trudy, na poświęcenie, na cenę, jaką trzeba było zapłacić, walczyli o miasto, ojczyste miasto, o Ojczyznę, o związek ziem południowo-wschodnich z Rzeczpospolitą. Chcemy uczyć się od nich patriotyzmu, szlachetności, bezinteresowności, altruizmu i heroicznego umiłowania Polski, naszej Matki. Ale dołączamy również pamięć o innej rocznicy – o 70-leciu ukraińskich mordów na Polakach w Polsce Południowo-Wschodniej, na Wołyniu podczas II wojny światowej. To jakby spadkobiercy tamtych napastników wojny ukraińsko-polskiej, to jakby odprysk tych, którzy walczyli w dramatyczny, bestialski, wyrafinowany sposób, który nie liczył się z ludzkim ani Boskim prawem, likwidując przeszło 100 tys. istnień polskich na Kresach. Chcemy tę pamięć, naszą modlitwę i serce złożyć tu na ołtarzu, aby Bóg przyjął naszych rodaków i aby trud ich życia nie okazał się marny. Pragniemy także pamiętać o więźniach łagrów, zsyłek, katorgi, tych wszystkich ludziach, którzy budowali pamięć i patriotyzm. Uczmy się od nich i postępujemy w ich ślady.

Lwówianka Helena Terlecka napisała w czasie II wojny światowej, podczas zesłania na Sybir, przejmujący wiersz pod tytułem *Bądź wola Twoja*:

Ciągle kogoś zostawiam po drodze
Ciągle od kogoś odchodzę
A droga taka daleka
I ciągle ktoś na mnie czeka
Wciąż ktoś ze świata mnie woła

Pustka dokoła
Dokoła łez tęcza niestartych
Łez biednych
Nic już niewartych
Więc tak bez końca
Tak ciągle
Więc tylko cicho się modłę
Niech wola Twoja się stanie
O Chryste nasz Panie

Wydawałoby się, że to są pesymistyczne słowa pełne rezygnacji, kapitulacji, a jednak jest to postawa chrześcijańska przyjęcia Boga za drogowskaz, za osobę. Chcemy i dzisiaj przyrzeć się wydarzeniom, które znamy z historii, ale również z opowiadań bliższych i dalszych osób, które kształtowały naszą ludzką świadomość. Ale spójrzmy najpierw na dzisiejsze czytanie; otóż przed chwilą odczytaliśmy przypowieść św. Mateusza o pannach rozsądnych i niemądrych. W starym tłumaczeniu użyto bardziej adekwatnych i soczystych określeń: o pannach głupich i mądrych, bo czym innym jest nierozsądek, a czym innym głupota. Czym innym jest mądrość, a czym innym jest roztropność. I jednak w tym klimacie poprawności tutaj także znajdzie się takie glossy, które nie chcą ranić naszych uszu. Ale oto owe panny głupie, które czekają na obluźnienie, zapomniały zaopatrzyć się w oliwę. Te drugie, mądre wiedziały, że może opóźnić się przybycie oczekiwanego gospodara. I oto nagle pod koniec nieoczekiwanie przybywa ów pan, którego wszyscy wyglądają. Jedne z nich narzekają na brak oliwy, a drugie cieszą się, że posiadają tę oliwę. Jaki jest finał, jaka jest konsekwencja tej sceny? Otóż te, które nie były przewidujące, zostały wyproszone na zewnątrz, nie były gotowe na spotkanie, nie były godne spotkania. Te, które zaś były przewidujące, zostały zaproszone na salony. To także nasza ludzka rzeczywistość. I my ulegamy mirażom. I nam się wydaje, że mamy pod dostatkiem środków do życia. I my cieszymy się z asekuracji, różnego rodzaju układów towarzyskich, zawodowych, prywatnych czy sąsiedzkich. Ale w najmniej oczekiwanym momencie przychodzi niespodzianka. Jesteśmy osamotnieni i płaczemy po nocach. Nikt nas nie chce wspomóc. Przyjaciele nas nie poznają, a i bliższa rodzina odwraca się plecami. Brak owej roztropności, przewidy-

wania, mądrości skutkuje potem katastrofą. To ponadczasowa opowieść Chrystusa.

Ale również i w naszych dziejach były tego typu analogie. Oto pod koniec I wojny światowej wszyscy marzą o wolnej Polsce, o Polsce złożonej z terytorium integralnego sprzed zaborów. Nikt nie wyobrażał sobie, że zabraknie w wolnej Ojczyźnie Lwowa, Wilna i owych Kresów, które tworzyły kulturę przez wieki. Ale zabrakło przewidywania, zabrakło mądrości, zabrakło roztropności. I oto 1 listopada 1918 roku Ukraińcy zawłaszczają Lwów i południowo-wschodnie Kresy. Wszędzie łopoczą flagi ukraińskie ku zaskoczeniu i goryczy Polaków, znikają emblematy władzy austriackiej i pojawia się nowy porządek rzeczy: represje, restrykcje, szantaże, rozstrzelania i różnego rodzaju opresje. Padają ich ofiarą Polacy, którzy chcieli stworzyć tam, odbudować Polskę na tych ziemiach, które od wieków należały do Rzeczypospolitej. Wszyscy wiemy, jakie były trudy walki o Lwów i o Kresy. To już stała się legendą owa opowieść o Orłętach, o tych, którym niestraszne były znoje, którzy uciekali przed matką, ojcem do zbrojnych oddziałów, aby zasilić je swoimi siłami. W jednej z kronik klasztoru Karmelitanek Bosych we Lwowie siostra klauzurowa opisuje młodego chłopca, który znalazł się w sąsiedztwie ich klasztoru. I pisze w ten sposób: *Wśród grupy obrońców znalazł się dwudziestoletni Iwo Skałkowski. Po spowiedzi i komunii św. zaproszony został na śniadanie. Potem wesóło opowiadał szczegóły znanych walk, niebezpieczeństw, a przed odejściem ukląkł przed kratą prosząc o błogosławieństwo na dalszą drogę, a była to droga ostatnia. W samo święto Młodzianków zginął śmiercią bohatera zaciętej walki z ukraińskim pancernikiem miotającym wściekle pociski na miasto. Innym, jeszcze młodszym od Iwona był 18-letni Piątkowski. Matka jego, prawdziwie wielka Polka, na wieść, że ten syn ukochany idzie w szeregi, rzekła do niego: Idź, nie będę cię wstrzymywać, bo w sercu moim na pierwszym miejscu Bóg, na drugim Ojczyzna, a dzieci moje na trzecim. Poszedł więc, a jego ciotka spotkała go na ulicy, jak wychodził z kościoła naszego z wyrazem takiego rozradowania na twarzy, że zapytała go o przyczynę. Ten zawołał: Ciociu, wyspowałem się, teraz jestem lekki, taki szczęśliwy, gotów na wszystko. Poszedł, a raczej*

wybiegł do boju, aby na drugi dzień przy zdobywaniu sejmu paść w obronie miasta i Ojczyzny.

Takich zapisów jest mnóstwo i wszyscy dobrze je znamy z literatury, historii, malarstwa polskiego. Ale trzeba sobie powiedzieć jedno, że ową inspiracją popychającą ówczesną młodzież polską do walki był najczystszy patriotyzm, była świadomość, że skoro brakuje wojska, żołnierzy, to trzeba oddać to co najcenniejsze: życie, młodość, bez względu na konsekwencje. A konsekwencje były najczęściej tragiczne: rany, a nawet śmierć. To dlatego potem po zakończeniu wojny wzniesiono ów panteon ku czci Orłąt Lwowskich, gdzie przeciętna wieku bohaterów oscyluje od 14 do 22 lat. Nie oglądano się na przyszłość, na aktualną karierę, na lęk przed śmiercią, ale wiedzano, że Ojczyzna jest w potrzebie, że trzeba pójść i złożyć dla niej w ofierze swoje życie.

To dla nas także wielkie wyzwanie i nuta refleksji: Jaką my dzisiaj prezentujemy postawę? Czy stać nas na poświęcenie dla Ojczyzny? Dzisiaj nie mamy takich potrzeb, aby pójść walczyć zbrojnie, ale czy umiemy poświęcić swój czas, swoje myślenie, swoją młodość na rzetelność, na uczciwość w pracy, w szkole, w nauce, na przyjaźń czystą i głęboką, na umiejętność szukania i budowania relacji z ludźmi, na poświęcenie, na altruizm, na zaniechanie prywaty, egoizmu, a oddanie swego czasu, swego życia ideałom największym. To każdy z nas jest wezwany do rachunku sumienia, aby w tym naszym patrzeniu na problem spojrzeć jak w lustro w swoją twarz i w swoje życie.

Ale obok tych Orłąt, które walczyły o każde piętrowo miasta Lwowa, a także innych miast wschodnich, południowo-wschodniej Polski pojawili się także ludzie cywilni, którzy znosili udręczenia od okupacji ukraińskiej. Cały impet nowej władzy był obliczony na usunięcie z powierzchni ziemi śladów polskości. Ale w pierwszym przypadku ten impet skierowany był pod adresem inteligencji świeckiej i duchownej: nauczycieli, dyrektorów przedsiębiorstw, urzędników państwowych, a także



kapłanów i zakonników. W Kołodziejówce koło Tarnopola Ukrainiec, wpadając na plebanię, krzyczy do księdza: *Gdyby ciebie tu nie było, to nie byłoby Polaków. Ty agitowałeś i głosowałeś na posła Polaka, a posłowie polscy domagają się likwidacji naszej Ukrainy.* Po czym komendant wydaje wyraźny wyrok: *Nie strzelać do niego, ale wymierzyć mu 80 nahałek, a potem rozsiekać na kawałki!* Ksiądz uszedł z życiem szczęśliwie, ponieważ opresanci byli zajęci rabunkiem plebanii. Ale obok niego takie represje spotkały sześciu duchownych, którzy zostali rozstrzelani tylko dlatego, że byli Polakami i katolikami. To właśnie w nich widziano ośrodek oporu, bo gdzie był ksiądz, gdzie był kościół łaciński, kościół polski, tam budowała się świadomość polska, zachodnia, cywilizacja europejska. Te wszystkie rzeczy na ogół są nam znane, a jednak mimo wszystko warte przypomnienia.

W innym miejscu żołnierze ukraińscy pochwycili Polaka, który dostał się do niewoli jako ranny polski żołnierz. Wrzucili go do rzeki Złotej Lipy. Rzecz działa się koło Tarnopola, w Markowej. A gdy ten nie utonął i dopłynął do brzegu, wrzucili go po raz drugi, a następnie po raz trzeci. Gdy i za trzecim razem się nie utopił, wzięto go na przesłuchanie. Przede wszystkim zażądano, aby mówił po rusku, czyli po ukraińsku. Ten nie znał tego języka, więc przesłuchiwano go gruntownie i za każdym razem bito nahałką, aż wreszcie zanurzono go pod wodą i utopiono jak psa. Wszystkie epizody pochodzą z kronik kościołów i klasztorów. Te materiały przez dziesięciolecia były niedostępne do badań naukowych, zamknięte, ale warte przytoczenia, bo pokazują one drugą stronę wydarzeń, nie ową batalistyczną, ale psychologiczną, ludzką twarz tamtych czasów. Wydawałoby się, że to Kościół powinien łagodzić konflikty. Tak zwykle było. Ale w tym przypadku Kościół greckokatolicki, także przecież katolicki, ale obrządku wschodniego, przyjął postawę inną, lansując tezę o konieczności zbudowania Ukrainy niepodległej. I znowu cytat z kroniki z Ostrówka koło Sokala: *Ruchowi owemu przewodzili księża ruscy, tak jak przewodzili w pracy lat dziesiątki nad wychowaniem tego ruchu nacjonalistycznego i nagle przebudzili się zaalarmowani straszną rzeczywistością. Zrzucili maskę ci, którzy w niej grali rolę*

zręcznie, przyjaciół naszych, w naszych polskich kołach towarzyskich. Oni to wiece zwoływali, w cerkwiach na nas do rzezi nawoływali i gwałtów. Za nimi nauczycielstwo, chłopstwo, żywioty rozpalone nienawiścią stawały się tym szkodliwsze, że nasze posiadały zaufanie. Najbliżsi Ukraińcy, znając dokładnie stosunki miejscowe, powodowali aresztowania, rabunki i doszczętne ruiny naszych plebanii, dworów polskich, ludu polskiego. Strasznie liczne straty, ale duch ludu naszego stanął jak szczytna wieża na tych gruzach.

Tych przykładów jest mnóstwo i byłoby bezcelowym je tutaj przytaczać, bo są one wydrukowane, dostępne w literaturze historycznej, ale spójrzmy na to z perspektywy czasu. Ileż ci nasi rodacy musieli tam wycierpieć. Ileż znieść owego bezhołwia, owego całkowitego, pełnego grozy niebezpieczeństwa, że tu nie będzie już nigdy Polski. Że z tego regionu Europy Polska ma zniknąć. To tamte czasy, ale niespełna dwadzieścia lat potem, podczas II wojny światowej przyszły jeszcze mocniejsze akordy. Oto działalność band ukraińskich UPA i stowarzyszonych z nią oddziałów położyły faktycznie kres istnieniu polskości na tych ziemiach. Dzisiaj, podróżując po Ukrainie, dzisiejszej Ukrainie, spotyka się puste obszary, zwłaszcza na Wołyniu, gdzie tylko ślady studni, albo też podmurówek domów świadczą o niegdyś istniejących osadach i wioskach. Nad owymi pustymi zgliszczami, pogorzeliškami szybują ptaki, a tylko niekiedy Polacy ocaleni, wypędzeni, mieszkający dziś tu w naszych granicach przyjeżdżają tam z nostalgią i tęsknotą na groby najbliższych.

W tym roku* na 15 sierpnia zostałem poproszony z kazaniem do Bazyliki Metropolitalnej we Lwowie na uroczystość Matki Bożej Wniebowziętej. Przywołałem m.in. aktualną 70. rocznicę mordów ukraińskich na polskich obywatelach Kresów Wschodnich. Przytoczyłem pewne fragmenty z owych wydarzeń w oparciu o kroniki kościelne. Przytoczyłem w sposób beznamiętny, historyczny, konkretny, nie rozliczeniowy. Po mszy św. zostałem wezwany do zakrystii i nieznany mi mężczyzna zaczął mnie pouczać, że jest oburzony tonacją kazania, ponieważ on szukał tutaj modlitwy, a zetknął się z polityką. W czasie dyskusji okazało się, że jest to urzędnik ukraińskiej służby bezpieczeństwa,

czyli dawnego KGB sowieckiego, który nadal inwigiluje Kościół i chce monitorować styl formułowania pewnych prawd i problemów, zjawisk i opinii na temat historii. Zarzucił mi, że nie wspominałem o Akcji Wisła, nie wspominałem o Chmielnickim, że nie wspominałem o Ukraińcach zamordowanych przez Polaków. Kiedy odwołałem się do tematu kazania, a więc Matki Bożej Wniebowziętej, rocznicy eksterminacji Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w II wojnie światowej, ten upierał się, że jest to jednak manipulacja, a on chciał jako Ukraińiec usłyszeć drugą prawdę – o polskich bestialstwach na ukraińskim narodzie. Kiedy wytykałem mu ignorancję i całkowitą nieznajomość historii, a właściwie jakąś chęć ukazania swojej prawdy za każdą cenę, ten zaczął z kolei dyskutować ze mną, że w zasadzie jest oburzony i zagroził mi jutrzejszymi rozruchami we Lwowie wskutek mojego kazania. Zaproponowałem mu, żeby zacząć dziś, na świeżo, bo noc ostudzi pały. Odszedł oburzony, zapowiadając dalsze konsekwencje, których oczywiście nie było. To także jest skutek tamtych dziesięcioleci minionych.

Święty arcybiskup Bilczewski pisał, że gdyby Ukraińcy zwyciężyli w czasie tej wojny o Lwów w roku 1918, to nie byłoby mowy o jakimkolwiek już śladzie cywilizacji zachodniej na tamtych ziemiach. Dziś dzieje się to w sposób metodyczny: niszczenie kościołów, przebudowa ich struktur, brył architektonicznych, usuwanie i dewastacje pomników polskiej kultury, a na Łyczakowie, mimo iż jest to cmentarz objęty statusem muzeum, dalej następuje zjawisko rabunku, dewastacji, kradzieży i zacierania polskich napisów. To także krzyk tamtych czasów. Wydaje się, że ten symbol orła broniącego gniazda poszedł na marne. Że ten zryw bohaterstwa naszych rodaków z roku 1918 właściwie był bezprzykładny, a zarazem niepotrzebny, bo i tak wszystko przepadło. A jednak nie, bo przecież istnieje w ludziach pamięć, istnieje w narodzie pamięć, bo tylko ten naród, co traci pamięć, traci życie. Stąd chcemy nie tyle karmić się historią dla niej samej, ale uczyć się na błędach przeszłości – po to, by nie popełniać w przyszłości błędów.

Co więc dzisiaj możemy wynieść z tej lekcji historii? Przede wszystkim konieczność odwiedzania tamtych ziem, częstych wizyt na naszych wschodnich ziemiach. Nie

po to, aby odzyskiwać je siłą, przemocą czy inną metodą, ale aby pielęgnować pamięć o dziejach i o kulturze tamtych stron. To przykre, że Niemcy potrafią z pomocą dotacji rządowych starać się o wzniesienie muzeum czy ośrodka pamięci o wypędzonych. A nasz kraj, nasze środowiska rządowe nie umieją zdobyć się na tego rodzaju gest, aby zabezpieczyć na przyszłość pamięć o tamtych dziejach, o kulturze, o wymiarze psychologicznym, a także materialnym. Wobec tego jedźmy tam, na Wschód. Umiejmy dostrzegać piękno tamtych ziem. Umiejmy ratować resztki cywilizacji zachodniej, nie w kontraście do Wschodu, ale aby utrzymać to, co zostało. Za lat sto czy dwieście nie będzie już śladów żadnych. Jeśli zaniedbamy teraz tę akcję ratunku, potem będzie się mówić tylko i wyłącznie o kulturze bizantyjskiej. Już dzisiaj zresztą pojawiają się państwowe wydawnictwa albumowe w języku ukraińskim, mówiące o gotyku ukraińskim, o baroku ukraińskim, o renesansie ukraińskim, o rokoku ukraińskim. Jest to więc próba zawłaszczenia w jakiś sposób pojęć, zjawisk, wydarzeń, które nie są przypisane tamtej cywilizacji.

Kto jednak z Europejczyków bywających na Wschodzie zrozumie te niuanse? Chcemy zatem bywać tam i zwiedzać, ale również próbujemy publikować swoje wspomnienia, wspominać swoich bliskich. Dokumenty gromadzić skrzętnie. Umiejmy je jakoś kumulować w jednym miejscu. Bodaj w tutejszej Bibliotece Jagiellońskiej, Ossolineum wrocławskim, w instytucjach, które mają znamię trwałości. Niech zostaną te resztki pamiętek. Niech będą krzykiem na bezludziu. Niech będą jakąś jasną zagwią pokazującą dorobek, kulturę i ładunek serca.

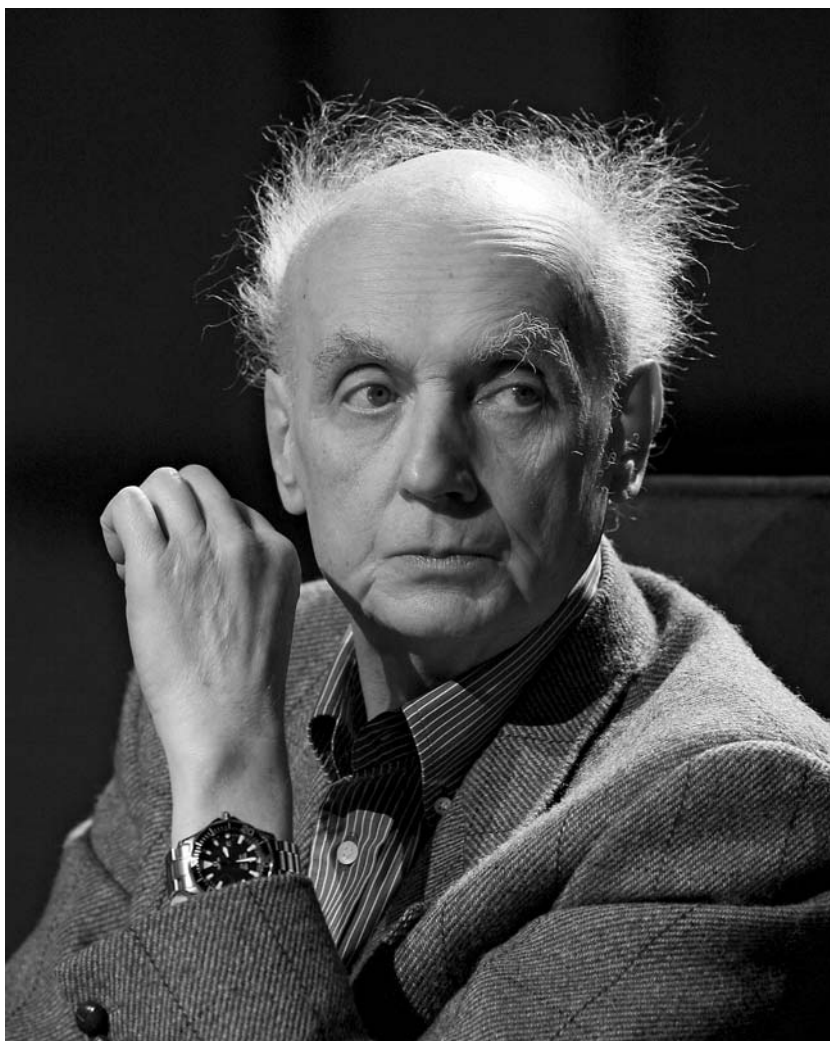
Chcemy dziś prosić Boga, abyśmy sami nie umarli, aby nasza pamięć nie umarła, aby nasze serca nie wystygły i aby nasz rozum nie oziębiał wskutek dobrobytu i wskutek wszechobecnego dostatku i bylejakości. Chcemy prosić Boga o wrażliwość, o czułość, o roztropność i wreszcie mądrość, by modłać się o sprawy doczesne, nie zatracić także pamięci o przeszłości. Przytoczmy jeszcze jeden wiersz owej lwowianki, Heleny Terleckiej, która będąc w łągach sowieckich marzyła o powrocie na ziemię ojczyste. Pisała również w tonacji bardzo pesymistycznej, ale oddającej jej stan ducha:

► *Na Twoje Jezu umęczone ciało
Padły łzy Matki bolesne i święte
Co się stać miało
Już się dokonało
Poprzez wyroki Boga niepojęte
Smutne są dusze uczniów aż do śmierci
I cicho płacze Maryja z Magdali
O Panie, Panie cóżś nam uczynił
I któż Ci Chryste ten kamień odwali
Na Twoje ciało bolesne Ojczyzno
Padły łzy matek ofiarne i święte*

*Co się stać miało
Już się dokonało
Poprzez wyroki Boga niepojęte
Smutne są dusze nasze aż do śmierci
I jak Maryja płaczymy z Magdali
Że żaden, żaden jeszcze z nas nie godzien
Kamienia z grobu twój odwalić*

* Chodzi oczywiście o rok 2013.

Tekst przygotowała do druku Anna Madej.



ZMARŁ WIELKI KOMPOZYTOR WOJCIECH KILAR

W następnym numerze zamieścimy wspomnienie Jemu poświęcone.

Paweł Pencakowski

Tylko we Lwowie... (1)

Pamięci Profesor Wandy Pencakowskiej (1922–2008) – mojej Matki

Jakże trudno jest pisać o Lwowie człowiekowi urodzonemu i wychowanemu w rodzinie lwowskiej!

Do pisania potrzebny jest pewien dystans, jakiś obiektywizm, a ludziom stamtąd, w tym i mnie samemu, tego właśnie dystansu brakuje. Choć bowiem całe życie mieszkałem w Krakowie, to jednak ten Lwów był wciąż obecny w moim rodzinnym domu.

Jawił się on w specyficznym słownictwie, w charakterystycznym śpiewnym akcencie (kiedy niedawno prezentowano dokonania zmarłego trenera tysiąclecia – Kazimierza Górskiego, oczywiście lwowiaka – jego sposób mówienia przypomni mi niezjącego od wielu lat mego Ojca). Był ten Lwów punktem odniesienia wszelkich ocen, funkcjonował we wszystkich możliwych porównaniach i zawsze, na każdym polu wygrywał: ta co tam Rzym, co tam Paryż i Florencja – Lwów to dopiero...

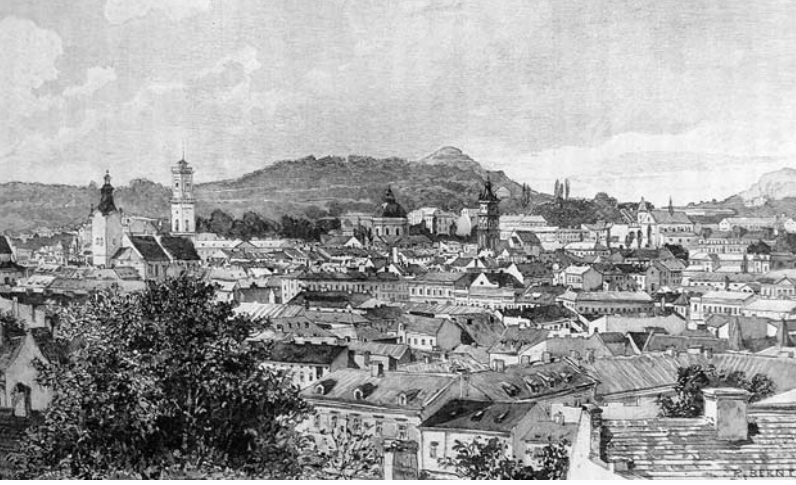
Do mego świata należeli od samego początku honorowi batarzy lwowscy, eleganckie lwowskie panie i rezolute przekupki. Jedna z nich zamieszkała po wojnie w Krakowie i moja babcia robiła kawał drogi, aby pod pozorem kupowania marchewki czy pietruszki – porozmawiać z tą kobietą, znaną tylko z widzenia sprzed wojny (spotkania pani profesorowej z przekupką kończyły się zazwyczaj łzami). Od dzieciństwa wiedziałem, kim byli Tońcio i Szczepcio ze słynnej „Lwowskiej fali”, kim zaś rozstrzelani przez Niemców profesorowie tamtejszych uczelni oraz inni wywiezieni przez Sowietów i zamrożeni na „niehumanitarnej ziemi”. Wiedziałem, co się wydarzyło w więzieniu w tzw. Brygidkach i jak wyglądały wywózki lwowiaków na wschód (wśród wywiezionych była moja Matka). Znałem heroiczną epopeję lwowskiej Armii Krajowej i „Wachlarza”.

Znana mi była z opowieści najpiękniejsza na świecie panorama miasta: oczywiście panorama Lwowa oglądana z Wysokiego

Zamku, Cmentarz Orłąt – najwspanialsze *campo santo* Europy. Wiedziałem, że w tym niezwykłym mieście istniały trzy archikatedry katolickie (jedyny taki przypadek w skali świata!), znakomite uczelnie wyższe z Uniwersytetem i Politechniką na czele. Szybko poznałem maksymę *Leopolis semper fidelis Poloniae* i dowiedziałem się, że od swego założenia do 1708 roku to miasto nie zostało nigdy zdobyte. Że tu król Jan Kazimierz składał swoje śluby Królowej Korony Polskiej. I że kiedy nadszedł czas próby, lwowscy mieszczaństwo nie chcieli przyjąć do wiadomości pierwszego rozbioru Polski i złożyć przysięgi na wierność cesarzowej Marii Teresie i Austrii – oni jedyni – poseł Ziemi Nowogródzkiej Tadeusz Rejtan, protestujący w sposób tyleż dramatyczny co bezskuteczny na sejmie warszawskim. Wiedziałem co to jest *cytadela*, co to pułk „Dzieci Lwowa”. Znana mi była pewna kamienica (zdaje się na Zamarstynowie), z dachu której woda odprowadzana była do Morza Czarnego z jednej połaci, a do Bałtyku z drugiej – bo tędy właśnie przebiegał europejski dział wód. Znałem z opowieści parki i place, wzgórze i ulice, „Panoramę Raclawicką” i pocztę, dworzec i teatr, kościół św. Elżbiety i schronisko dla weteranów wojskowych.

O każdym z tych miejsc traktowała piosenka lub jej zwrotka, jakiś wiersz, anegdota czy wspomnienie.

W świadomości dziecka, a później młodzieńca, to co powszechne we Lwowie i ogólnie znane łączyło się z tym co rodzinne, najbliższe. A więc zegar u Bernardynów, który śpieszył się trochę i bijąc wskazywał uczniom, że już najwyższy czas, aby biec do szkoły (poganiał on również moją Mamę, mieszkającą z rodzicami i bratem przy ulicy Wyspiańskiego). Na samym początku ulicy Łyczakowskiej, naprzeciw kościoła Klarysek, znajdowało się zaś biuro firmy projektowo-budowlanej dziadka Stefana. Firma ta prowadziła kiedyś prace konserwatorskie w Arsenale Królewskim i tam między podbiciem stropu a podłogą robotnicy znaleźli



Widok centrum Lwowa z czasów przed II wojną

noblista Vonnegut stworzył ciekawą, „bełkotliwą” – jak sam mówi – książczynę, w której tłumaczy, że wielkiej tragedii opisać nie sposób. W obliczu totalnej katastrofy trzeba milczeć. Ponadto człowiek nie powinien oglądać się wstecz, bo skończy jak biblijna żona Lota, która obejrzała się na ginące miasto i zamieniona została w słup soli. Ale Lwów to przecież nie Sodoma, która za wyrokiem Boskim przepadła z kretesem, i nie Drezno, które – choć całkowicie zburzone – zostało jednak odbudowane. Lwów przetrwał jako miasto: jego gmachy, arterie, zieleń, zaułki istnieją wciąż i nadal zachwycają. O tym można mówić i o tym chciałbym napisać tych parę stron. Tak więc będzie to tekst o tym, czym Lwów był i czym pozostaje dla Polaków, a szczególnie dla Lwowian. Jest on bowiem obok Warszawy, Krakowa i Wilna jednym z czterech mitycznych miast, wokół których koncentruje się, żyje i rozwija polska wyobraźnia historyczna i pamięć narodowa, niezależnie od geopolityki, wysiłków rozmaitych ciemnych sił i upływu czasu.

doskonale zachowany żółty ser: ogromny krąg mający – jak obliczono – ponad 220 lat. Mój Ojciec wspominał jego smak!

We Lwowie była kawiarnia „Szkocka”, w której zbierali się matematycy z Uniwersytetu, tworzący słynną na całym świecie szkołę matematyczną, oraz kawiarnia „Roma”, gdzie spotykali się pracownicy naukowci Politechniki – bywał tam mój dziadek Jan – ojciec matki. Oprócz nich renomowana restauracja Bisanza i hotel „George”, gdzie lubił podejść dobrze sobie radzący dziadek Stefan, i cukiernia Ludwika Zalewskiego, której nadzwyczajne wyroby transportowano co dzień do Paryża samolotem! Dochodzi do tego II Żeńskie Gimnazjum im. Adama Asnyka, I Państwowe Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego, wreszcie Wydział Architektury Politechniki Lwowskiej, które to szkoły średniego i wyższego stopnia ukończyli moi rodzice. A byli tam z nimi ich wspaniali nauczyciele i profesorowie, koleżanki i koledzy. Tam rodziły się przyjaźnie, które przetrwały długie lata, trwała nauka i gdy nadszedł czas ciężkiej próby: konspiracja, wojenna bieda i poniewierka, ucisk i heroizm oraz śmierć zbierająca obfite żniwo.

Ale nade wszystko wspomiana była u nas w domu atmosfera – ta szczególna atmosfera przedwojennego Lwowa – aura przyjaźni, otwartości, serdeczności. Ten świat zawałił się jak wiadomo w czasie II wojny światowej i przestał istnieć.

Kiedy teraz piszę o tym, przypomina mi się *Rzeźnia numer pięć*, genialna książka Kurta Vonneguta, który spróbował napisać dzieło o zagładzie Drezna w czasie II wojny światowej, a właściwie o wojnie samej, jej okropieństwach, bezsensie i o tym, że człowiek jest niczym wobec „spuszczonej z łańcucha historii”. Zamiast grubego tomu

stąpiła w słup soli. Ale Lwów to przecież nie Sodoma, która za wyrokiem Boskim przepadła z kretesem, i nie Drezno, które – choć całkowicie zburzone – zostało jednak odbudowane. Lwów przetrwał jako miasto: jego gmachy, arterie, zieleń, zaułki istnieją wciąż i nadal zachwycają. O tym można mówić i o tym chciałbym napisać tych parę stron. Tak więc będzie to tekst o tym, czym Lwów był i czym pozostaje dla Polaków, a szczególnie dla Lwowian. Jest on bowiem obok Warszawy, Krakowa i Wilna jednym z czterech mitycznych miast, wokół których koncentruje się, żyje i rozwija polska wyobraźnia historyczna i pamięć narodowa, niezależnie od geopolityki, wysiłków rozmaitych ciemnych sił i upływu czasu.

Lwów leży na europejskim dziale wód, w miejscu gdzie stykają się trzy obszary geograficzne: Płyta Podolska, Wyżyna Małopolska i Roztocze, na prastarym szlaku handlowym łączącym od tysiąca lat łańcisk Zachód z bizantyjskim Wschodem, z Lewantem i krajami islamu. Miasto założone zostało w połowie XIII wieku przez księcia halicko-włodzimierskiego Daniela i nazwane imieniem jego syna Lwa (†1301). W granicach Królestwa Polskiego Lwów znalazł się w roku 1349 w ramach realizacji umów dynastycznych, nie zaś podboju. Od tego czasu datuje się jego dynamiczny rozwój. Kamieniem milowym była lokacja miasta na prawie magdeburskim (1356), podniesienie go do rangi stolicy województwa ruskiego oraz przeniesienie tu siedziby arcybiskupstwa z Halicza (1412). Lwów ukształtował się jako miasto wieloetniczne. Mieszkali tu Rusini, Ormianie, Polacy, Niemcy, Żydzi, Włosi, Węgrzy, Wołosi, Grecy, Hucułowie i inni. Mówiono tu różnymi językami i wyznawano rozmaite religie. Obok biskupstwa

łacińskiego było już w połowie XIV wieku biskupstwo ormiańskie i prawosławne – od 1539 roku. Z czasem przekształciły się one w trzy arcybiskupstwa katolickie obrządku łacińskiego, ormiańskiego i greckiego (to ostatnie w 1700 r., w związku z przyjęciem Unii). Działały tu mocne organizacje cechowe, rozwijał się samorząd miejski, funkcjonowały instytucje samorządowe, religijne i kulturalne, rozmaite stowarzyszenia i bractwa, a wśród nich założone w połowie XVI w., łączące w swych szeregach Rusinów, Bractwo Uspieńskie, cieszące się niezależnością od ortodoksyjnej hierarchii Kościoła obrządku wschodniego (Staupopigia), zasłużone w wydawaniu ksiązek i fundacjach pobożnych.

Po połowie XIV w. we Lwowie powstała regularna sieć ulic i rynek, wzniesiono fortyfikacje miejskie, wodociągi i kanalizację, powstała mennica. W XV i XVI w. można było obserwować wspaniały rozkwit rzemiosła i handlu, w tym handlu lewantyńskiego. Siedziby swoje miały we Lwowie najznakomitsze rody magnackie. Zróżnicowana struktura ludnościowa i kulturowa miasta znajdowała swoje odzwierciedlenie w architekturze i sztuce Lwowa, łączącej rozmaite pierwiastki oraz promieniującej we wszystkie strony zarówno w średniowieczu, w erze nowożytnej, jak i później. Wszystko to owocowało również w literaturze, teatrze, poezji i w nauce.

Patrząc na Lwów i usiłując odkryć źródło jego szczególnego piękna, należy zacząć od układu przestrzennego. Miasto Lwów rozwijało się pod względem urbanistycznym w sposób racjonalny i harmonijny. Ulokowane w zróżnicowanym pod względem topografii terenie, miało zawsze wiele miejsca dla siebie. Ruskie miasto przedlokacyjne usytuowane było u stóp Wysokiego Zamku. Tam znajduje się Stary Rynek i najdawniejsze świątynie: cerkwie św. Mikołaja, św. Onufrego (Bazylianów), św. Praksedy (Paraskewii) oraz kościoły łacińskie św. Jana Chrzciciela i Matki Boskiej Śnieżnej. Wszystkie one postawiono za czasów panowania książąt ruskich, którzy – jak widać – przejawiali daleko posuniętą tolerancję w sprawach wyznaniowych. Tam też powstały pierwsze budowle świeckie, po których czas zatart wszelkie ślady.

Miasto lokacyjne, założone z całą pewnością przez inteligentnych i dobrze wy-

kształconych średniowiecznych urbanistów z Zachodu, charakteryzuje się istnieniem obszernego rynku pośrodku i sieci regularnie rozplanowanych ulic. Tę szczególną ośnowę urbanistyczną wzbogacał i wypełniał stopniowo architektoniczny wątek prezentujący „wszystkie kolory tęczy”. Było więc miejsce na ratusz – chwałę Lwowa, siedzibę jego samorządu, na liczne kościoły – w tym farę miejską, podniesioną do rangi katedry, a później archikatedry, i katedrę ormiańską. Dochodzą do tego cerkwie (np. Uspieńska, zwana Wołoską), kościoły i klasztory katolickie (Augustianów, Bernardynów, Jezuitów, Reformatorów, Karmelitów, Trynitarzy, Pijarów, Klarysek, Benedyktynów i tyłu innych), ormiański kościół św. Krzyża, jak również synagogi, w których modlili się lwowscy Żydzi, i – z czasem – protestanckie zbory. Wokół rynku budowano z rozmachem kamienice i pałace, które były też przerabiane i zdobione przez następne pokolenia.

Jednak Lwów rozwijał się dalej i wkrótce wyszedł poza ramy nakreślone przez czternastowiecznych urbanistów. Rozrastały się więc jego przedmieścia sytuowane wzdłuż głównych ciągów drogowych. Tam wznoszono nowe świątynie, w tym m.in. wspaniałe założenie katedry św. Jura, a także mały kościół św. Antoniego przy ulicy Łyczakowskiej, św. Marii Magdaleny przy ulicy L. Sapiehy, św. Mikołaja przy ulicy Mochnackiego czy zbór ewangelicki przy ulicy Zielonej. Kwitły więc za czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów te lwowskie przedmieścia.

Ciąg dalszy w następnym numerze



Rynek lwowski

PAMIĘĆ POWSTANIA STYCZNIOWEGO we LWOWIE

Powstanie Styczniowe to największy zryw niepodległościowy w dziejach narodu polskiego, a jednocześnie największy wysiłek organizacyjny. Po latach tak je oceniano:

Z oddali lat, z perspektywy dziejowej, w pamięci wnuków, święcących półwiecze wojny narodowej, nabiera ta wojna dziwnie jasnych blasków. Zimne mogiły i powstańcze cmentarzyska opromieniają się chwałą, wspomnienie czynów do nowej zagrzewa walki i wysiłków, posiew krwi i męczeństwa rodzi do dalszych wysiłków ochotne zastępy. Czyn Powstania Styczniowego spełnił swoje dziejowe posłannictwo: nie pozostał, jak to było pragnieniem wrogów, a może i małodusznej części społeczeństwa, faktem odosobnionym, porywem, który wielkie nieszczęścia przyniósł narodowi, smutną naukę, po której zwyciężonym nic by nie pozostało jak tylko rezygnacja. Przeciwnie, Powstanie Styczniowe stało się pięknym i bohaterskim wzorem miłości Ojczyzny, płomieniem zagrzewającym do dalszych poświęceń, stało się twardą szkołą narodową, w której następne pokolenia, obok niedoścignionych przykładów waleczności i cnoty wojennej, znalazły zachętę i naukę do dalszych narodowych wysiłków.

Władze i społeczeństwo II Rzeczypospolitej podjęły ogromny wysiłek, by wydarzenia z 1863 roku nie zatęchły w społecznej świadomości. Legenda powstania posłużyła do kształtowania postaw patriotycznych, wykorzystywano ją w procesie budowania idei odradzającej się państwowości. Uczestników Powstania Styczniowego otaczano szczególną czcią, a pamięć o wydarzeniach roku 1863 kultywowana była przez kolejne pokolenia.

Doskonałe było to widoczne jeszcze w okresie zaborów, kiedy starano się upamiętniać kolejne rocznice wybuchu powstania. W roku 1913 mijalo 50 lat od wydarzeń pamiętnego roku 1863, zorganizowano wówczas wielką wystawę we Lwowie. Uroczystości lwowskie miały wymiar ogólnonarodowy

i ponadzaborowy. Już w 1912 roku podjęto inicjatywę ratowania przed zniszczeniem przechowywanych w domowych archiwach pamiątek po powstańcach. Powołany został specjalnie komitet, który uzyskał wsparcie finansowe od władz Lwowa oraz pomieszczenia w odrestaurowanym Pałacu Sztuki. Organizatorom udało się dotrzeć do wielu osób i instytucji.

Na potrzeby ekspozycji pozyskano przedmioty od 372 posiadaczy, były wśród nich muzea: Narodowe Polskie w Rapperswilu, w Krakowie, im. Lubomirskich we Lwowie, Narodowe im. Sobieskiego we Lwowie, ponadto Archiwum Miejskie we Lwowie. Grono ofiarodawców prywatnych stanowili: Gustaw Bittner, Helena Dąbcańska, Franciszek Rawita-Gawroński, JE August Gorayski, dr Piotr Kucharski, Leon Krzemieniecki, Jerzy hr. Mycielski, Bronisław Ostrowski, Stefan Pielecki, ks. Władysław Sapięha, JE hr. Stanisław Tarnowski, Bolesław Wyślouch czy Stanisław Zarewicz. Aleksander Sochaczewski przysłał na wystawę cały swój dorobek artystyczny – obrazy wykonane podczas zesłania na Syberii.

Dziela malarskie przekazali też sybirak Józef Barkman i Ludomir Benedyktowicz oraz malarze-powstańcy: Bolesław Dłuski, Rudolf Erazm Fabiański, Wojciech Jabłoński, Mieczysław Niesiołowski.

Uroczyste otwarcie wystawy miało miejsce 28 czerwca 1913 roku. W 15 salach Pałacu Sztuki zgromadzono ok. 10 tys. eksponatów, wśród nich wiele dzieł inspirowanych wydarzeniami 1863 roku.

Na wystawie zaprezentowano portrety, mundury, broń i sztandary, pamiątki okresu manifestacyjnego i żałoby narodowej, pamiątki po dowódcach i relikwie rodzinne, m.in. autografy dowódców oraz wzruszające wyroby więźniów i sybiraków. Szczególnie miejsce zajmowały eksponaty związane z działalnością Rządu Narodowego, głównym elementem był zbiór pieczęci pochodzących z Muzeum Narodowego w Rapperswilu oraz z Muzeum im. Lubomirskich we Lwowie. Twórcy wystawy pokazali też

powstańcze losy jego uczestników, poświęcając dwie sale na zbiory z zesłania, znalazły się tam też, przejmujące smutkiem i wiejące grozą, obrazy i szkice Aleksandra Sochaczewskiego. Niezwykle sugestywna była sala, w której zgromadzono blisko 200 nekrologów uczestników powstania.

Byli powstańcy starali się wiernie służyć narodowi i przejawiali swą aktywność w różny sposób.

Jeszcze w okresie zaborów w Galicji powstały pierwsze stowarzyszenia zrzeszające weteranów. W 1888 roku powołano Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy Uczestników Powstania 1863 roku, którego celem było udzielanie pomocy potrzebującym weteranom. Siedzibą był Lwów, swoim zasięgiem obejmowało ono Galicję, a po roku 1918 całe terytorium odrodzonej Polski. Oddziały Stowarzyszenia funkcjonowały w większych miastach.

W Krakowie działał Związek Weteranów Powstania z roku 1863/4, którego ostatnim prezesem był inż. Stanisław Krzyżanowski. Po jego śmierci 22 października 1932 roku Związek przestał istnieć.

Prezesem Lwowskiego Związku był Leon Syroczyński, a po jego śmierci obowiązki objął Marian Kuczyński, zastępcą był Teofil Bentkowski. Do Towarzystwa na początku lat 30. należeli: Ludwik Przetocki, Rafał Hirsch, Adolf Kohlberger, Tomasz Kazecki, Adam Morawski, Antoni Suess i Zofia Romanowiczówna.

Weterani byli otoczeni szczególną opieką przez lwowski garnizon wojskowy, wpisano ich nawet na listę członków nadzwyczajnych ogniska oficerskiego. Honorowe odznaki przyznał im Korpus Kadetów nr 1. Z uwagi na podeszły wiek wszystkich lwowskich weteranów i problemy w załatwianiu spraw organizacyjnych, prezes Towarzystwa zwrócił się do Magistratu o utworzenie komitetu opieki nad weteranami. W październiku 1932 roku został powołany Komitet Opieki nad Uczestnikami Powstania z roku 1863/4, wdowami i sierotami po nich. Na jego czele stanął wiceprezydent Lwowa Zdzisław Stroiński, w skład komitetu weszli przedstawiciele władz miasta, środowiska wojskowych i weteranów.

Przekazywano środki finansowe na potrzeby weteranów, organizowano różnorodne spotkania. Przykładem może być wigilia

urządzona 23 grudnia 1932 roku w Oficerskim Kasynie Garnizonowym, podczas której kolędy śpiewał Antoni Suess, a Rafał Hirsch wyrecytował wiersz *Śmierć trębacza*.

Powołano też we Lwowie Komitet Obywatelski dla uczczenia 70. rocznicy powstania – na jego czele stanął gen. Popowicz.

Weteranów cieszył każdy dowód uznania dla ich oddania ojczyźnie. Byli bardzo dumni, gdy w roku 1935 nazwano ich imieniem rondo, a potem plac przed kościołem św. Floriana w Warszawie.

Silne więzy łączyły kombatantów z młodzieżą. Młodzież szkolna uczestniczyła w spotkaniach z powstańcami, brała udział w uroczystościach rocznicowych. Szczególne miejsce zajmowały kontakty z harcerzami. Dowodem szacunku harcerzy dla dokonania uczestników powstania może być pismo wystosowane do weteranów 1863 roku przez 3 Warszawską Drużynę Harcerską im. ks. Józefa Poniatowskiego. W rocznicę wybuchu powstania 22 stycznia 1923 roku harcerze w piśmie skierowanym do prezesa Stowarzyszenia Juliana Adolfa Święcickiego napisali, że ich drużyna „składa bojownikom 1863 roku hołd należny i uroczyste przyrzeczenie, że pójdzie w Wasze ślady i, czy to na polu walki w obronie zagrożonej Ojczyzny czy to w wytężonej pracy nad ugruntowaniem jej niepodległości, postępować będzie zawsze w myśl ideałów Waszych i naszych harcerskich, by dowieść, że tuż za Wami idą nowe podobne Wam szereg”. Trudno się dziwić, że prezes odpisał harcerzom: „List powyższy przyjęty przez weteranów z głęboką radością i serdecznym, prawdziwie ojcowiskim rozrzewnieniem”

Weterani spotykali się z młodzieżą przy różnych okazjach, uczestniczyli w uroczystościach harcerskich, w zbiórkach, byli gośćmi na zlotach. Wykorzystywali każdą okazję do zacieśniania więzi międzypokoleniowych i uczenia szacunku dla symboli narodowych. Ponieważ powstańcy za niezwykle cenną relikwię uznawali sztandary swoich oddziałów, zabiegali, by przekazać je w godne ręce. Podczas obchodów 60-lecia powstania z rąk Leona Syroczyńskiego sztandar powstańczy otrzymał Korpus Kadetów nr 1 we Lwowie. Powstańcy podjęli decyzję, że należy oddać sztandar „ze słabnących rąk w krzepkie, młode ręce wychowanków Korpusu Kadetów”, zaś podczas uroczystości

prezes weteranów podkreślił, że „oddaje tym symbolicznym aktem wielką tradycję tych, co po znoonej pracy już cicho odchodzą, w ręce i serca najmłodszych, którzy do pracy Ojczyźnie dopiero się gotują”.

Przekazany sztandar był bliski mieszkańcom Lwowa. Bowiem do roku 1906 mieszkał tam Szymon Wizunas Szydłowski, powstańczy chorąży, opiekun tego sztandaru. Podobno sztandar był niesiony podczas manifestacji patriotycznych w Warszawie w roku 1861 i został przestrzelony dwoma kulami.

Inne zaś uszkodzenia pochodziły z okresu walk powstańczych i czyniły „z tej spłowiałej już dziś plachty chorągwianej jedną z najcenniejszych naszych relikwii narodowych”.

Powyższy tekst jest fragmentem artykułu pt. „Żywe pomniki bohaterstwa, czyli o szacunku dla weteranów Powstania Styczniowego w II RP”.

Dr JOLANTA ZAŁĘCZNY jest pracownikiem naukowym Muzeum Niepodległości w Warszawie

Andrzej Kobak

KAROL SZAJNOCHA 1818—1868

Portret romantycznego historyka

Ze Lwowem związany przez niemal całe swoje życie Karol Szajnocha, badacz dawnych dziejów Polski, a przy tym gorący patriota, żywo reagujący na współczesne sobie wydarzenia polityczne – kolejne nieudane próby wywalczenia niepodległości, pozostawał uczonym cieszącym się niezwykłym szacunkiem i poważaniem nie tylko w środowisku historyków, ale także, a może przede wszystkim, szerokich rzesz polskiego społeczeństwa wszystkich trzech zaborów.

Był Szajnocha, co warto podkreślić, człowiekiem aktywnym na wielu polach intelektualnej działalności. Próbował swoich sił jako dramaturg, publicysta, redaktor czasopisma, wreszcie historyk, starający się wydobywać i eksponować te momenty ojczystych dziejów, które szczególnie zasługiwały na pamięć i kultywowanie w dobie narodowej niewoli.

Co szczególnie interesujące – swoje patriotyczne wychowanie wyniósł z domu rodzinnego etnicznie mieszanego. Ojcem urodzonego w Komarnie w 1818 roku historyka był lekarz wojskowy, Czech z pochodzenia – Wacław Scheynocho Wtellsensky. Matka – Maria z Łozińskich – była Polką. Bliskie pokrewieństwo łączyło Szajnochę

z pisarzem Walerym Łozińskim i jego bratem, znawcą kultury dawnej Polski i jej obyczajów, Władysławem.

Już jako młody człowiek dał się poznać nasz bohater jako szczególnie wrażliwy na postulaty romantycznej literatury inspirujące narodową świadomość i poczucie odpowiedzialności. W roku 1836, mając zaledwie siedemnaście lat, został aresztowany za rozrzucenie kilku wierszy swojego autorstwa o treści patriotycznej w gmachu lwowskiego Uniwersytetu i w kościele Bernardynów.

Konsekwencje tego czynu były niewspółmierne do popełnionego „przestępstwa”. Skazano Szajnochę na opuszczenie miasta (co z czasem zostało uchylone), zakaz kontynuowania nauki i zakaz podjęcia pracy, która wymagała zgody władz. Do tego doszły poważne już kłopoty zdrowotne, które z czasem zaciążyć miały na dalszym życiu historyka. Okoliczności te zmusiły go do znalezienia zatrudnienia umożliwiającego względne przynajmniej utrzymanie. Był zatem Szajnocha i tłumaczem, i recenzentem w gazetach, i redaktorem ważnych periodyków – od roku 1848 „Dziennika Mód Paryskich”, a od 1852 roku „Dziennika Literackiego”. Nie zaniedbywał przy tym pracy guwernera – wciąż był prywatnym nauczycielem u rodziny Dzieduszyckich.

Kreśląc sylwetkę Karola Szajnochy, pamiętać należy o czynniku niezwykle istotnym, twórczo wpływającym na formowanie się osobowości naszego bohatera – jego poglądów, powinności wobec rodaków i kraju i własnej pracy uczonego – samouka. Miał na myśli środowisko, w którym Szajnocha się obracał i które intelektualnie go stymulowało. Bywał bowiem częstym gościem

rodziny Fredrów, a do grona jego najbliższych znajomych zaliczali się Adam Kłodziński, dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, jego następca na tym stanowisku August Bielowski, pisarz i badacz literatury Lucjan Siemieński, prozaik Józef Dzierzkowski, poeci Wincenty Pol, Kornel Ujejski i Dominik Magnuszewski. Związany był Szajnocha z twórcą wydawnictwa „Biblioteka Polska” Kazimierzem Józefem Turowskim. Poza wysokimi aspiracjami naukowymi łączyła Szajnochę z wyżej wymienionymi przedstawicielami życia umysłowego i kulturowego Lwowa i Galicji w ogóle, podatność na znajdujące w romantyzmie uzasadnione idee niepodległościowe i insurekcyjne.

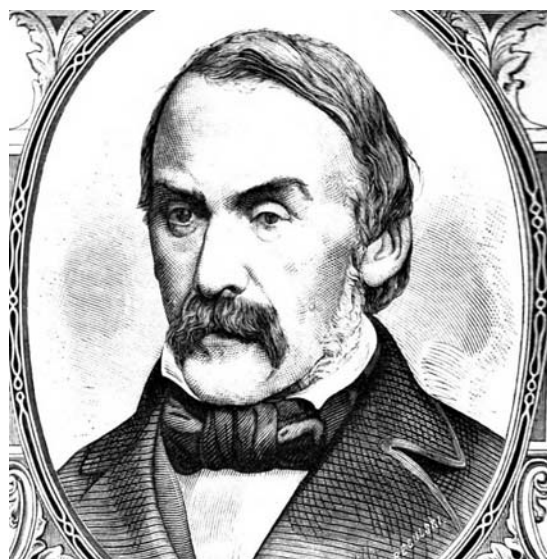
Potwierdzeniem tego było żywe zaangażowanie się Szajnochy w wydarzenia roku 1848. Został członkiem Lwowskiej Rady Narodowej i współtwórcą jej prasowego organu – „Dziennika Narodowego”. Wchodził ponadto w skład Gwardii Narodowej.

Przełomowym pod względem własnej twórczości okazał się okres, kiedy to wspomniany wcześniej August Bielowski mianowany został dyrektorem Ossolineum. Umożliwił on wówczas swojemu przyjacielowi możliwość korzystania z zasobów Zakładu. Warto podkreślić, że był Szajnocha jednym z pierwszych historyków, którzy w swojej pracy korzystali z materiałów zgromadzonych w tej niezwykle ważnej placówce naukowej. Jednakże pierwsze publikacje ogłosił Szajnocha już wcześniej. W roku 1847 ukazał się jego artykuł *Pogląd na ogół dziejów Polski*, ogłoszony zresztą w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, a w roku 1849 światło dzienne ujrzała pierwsza książka w dorobku historyka – *Bolesław Chrobry*.

W roku 1853 Karol Szajnocha powołany został na stanowisko zastępcy kustosa w Ossolineum. Lata pięćdziesiąte to także ważny okres pod względem wydarzeń wyłącznie osobistych. W 1855 roku zawarł małżeństwo z Joanną Bilińską i wkrótce na świat przyszedł jego syn Władysław. Niestety tragedią okazało się silnie nadwyżone zdrowie historyka. W roku 1860 był już prawie całkowicie ociemniały, a leczenie i częste kuracje nie przynosiły pozytywnych efektów. Szajnocha nie zaniedbywał jednak dalszej pracy, w czym szczególnie pomagali mu zaprzyjaźnieni z nim Włodzimierz Dzieduszycki i Alfred Potocki.

Zatrzymując się przy warsztacie pisarskim, Otrzeba wspomnieć, że jako badacz Szajnocha unikał wypowiedzania się na tematy stricte metodologiczne dotyczące historii. Najważniejszą, jak się wydaje, kwestią pozostawała dla niego sprawa stylu, formy naukowej wypowiedzi. Wiązało się to z istotnym dla naszego bohatera pragnieniem dotarcia do jak największej liczby odbiorców i autentycznego wpływu na kształtowanie społecznej wrażliwości i samoświadomości narodowej. Widać to w kolejnych, jak sam określał swój dorobek, „szkicach” czy „opowiadaniach” historycznych – *Pierwszym odrodzeniu się Polski 1279–1333* z roku 1849, *Mścicielu* z 1860 roku, w *Dwóch latach dziejów naszych 1646, 1648* z lat 1865–1869 i w swoim opus magnum wydanym w latach 1855–1856 zatytułowanym *Jadwiga i Jagiełło 1374–1413*.

Pierwszym zadaniem historyka winno być ukierunkowanie jego pisarstwa zgodnie z postulatami „ku pokrzepieniu serc”. Karol Szajnocha starał się być wierny temu wezwaniu, które naturalnie miało wyraźny cel dydaktyczny – podtrzymywanie na duchu rodaków w czasach niewoli, kolejnych klęsk i ich rocznic. Słusznie pisze Dorota Malczewska-Pawelec o twórczości autora *Bolesława Chrobrego* jako twórczości intelektualnie i emocjonalnie zaangażowanej, zdeterminowanej okolicznościami zewnętr-



nymi. Chciał Szajnocha swoim dziełem odpowiedzieć na społeczne zapotrzebowanie, stworzyć wzór *sui generis* „literatury pięknej historii” (Jerzy Maternicki pisze o poetyce literackiej dzieł historycznych Szajnochy). Stąd postulowana przez niego konieczność nieustannego dbania o formę przekazu komunikowanej treści, kładzenie nacisku na dynamikę opisu, talent literacki, kulturowy i obyczajowy kontekst.

Można dopatrzeć się w tym oczywiście echa epoki, w której Karol Szajnocha żył i tworzył. Jego twórcza korespondencja z duchem romantyzmu, z naukowymi osiągnięciami ówczesnej historiografii francuskiej i angielskiej są aż nazbyt widoczne. To przede wszystkim nietajony związek historii z literaturą (sam Szajnocha pozostawał autorem dramatów takich jak *Wincenty z Szamotuł*, *Jerzy Lubomirski*, *Bitwa na Kosowym Polu*), plastyczność języka, harmonijna kompozycja, przejrzystość konstrukcji dzieła, a przy tym inspiracje tym, co pierwotne i ludowe, uleganie słowianofilskim fascynacjom (Szajnocha był znany także jako tłumacz pieśni serbskich) zasadniczo formowało narracyjny model pisarstwa Karola Szajnochy. Nie należy jednocześnie zapominać o ważkich ówczesnie kwestiach społecznych, o nie tylko intelektualnej nośności haseł demokratycznych.

Szczególną popularnością cieszyła się uważana zgodnie za największe osiągnięcie Szajnochy praca *Jadwiga i Jagiełło*. Postrzega się ją jako klasyczne niemal dzieło szkoły romantycznej w historiografii polskiej. Dokonał w niej Szajnocha swoistego rozróżnienia – na świat przyrody i świat ludzkiego działania, uwypuklił rolę wybitnych jednostek w dziejach, a także znaczenie samego narodu jako odrębnej kategorii historycznej. Pokusił się o naszkicowanie psychologicznych konterfektów swoich bohaterów, podkreślenie dziejowej misji Polski – współtworzenia i obrony chrześcijańskiej cywilizacji europejskiej, choć zaznaczyć trzeba, że nie był Szajnocha całkowicie bezkrytyczny w stosunku do rodzimej historii – miał pełną świadomość popełnianych na jej przestrzeni błędów. O roli Polski na Wschodzie, o jej kulturowym, politycznym i gospodarczym wpływie na rozwój i kształt tamtejszych stosunków traktowały także inne publikacje Szajnochy, w tym wspomniana już wcze-

śniejsza praca *Dwa lata dziejów naszych 1646, 1648* oraz *Zdobycze pługa polskiego*. Jest to o tyle istotne, o ile pamiętać się będzie o coraz wyraźniej słyszalnych od połowy wieku XIX postulatach przedstawicieli ukraińskiej inteligencji domagającej się rozdzielenia Galicji na dwie odrębne prowincje. Szajnocha swoimi pracami zdecydowanie opowiadał za stroną polską i niejako legitymował stan jej posiadania na spornych ziemiach.

Sprawą kontrowersyjną pozostaje natomiast ewentualne przypisanie twórczości Karola Szajnochy szkole lelewelowskiej w rodzimej historiografii. Zwraca na to uwagę Andrzej Wierzbicki, dopatrując się w interesującej nas intelektualnej biografii autora *Mściciela* ulegania po trosze koncepcjom *stricte* „lelewelowskim” jak apologia Rzeczypospolitej szlacheckiej czy akceptacja wzorca pierwotnego i przepojonego ideą wolności słowiańskiego gminowładztwa. Szajnocha odbiegał jednakże od tych koncepcji istotnie w umiejscowieniu Polski w rodzinie krajów zachodnioeuropejskich. Podważał zatem niejako postulowaną przez Joachima Lelewela historyczną odrębność, a tym samym atrakcyjność (swojskość) dziejów ojczystych. Zachodu nie traktował Szajnocha jako obszaru li tylko destrukcyjnych wpływów – negatywnie oddziałujących na Słowiańszczyznę. Polska przynależała do świata zachodniego także poprzez realizację misji cywilizacyjnej na Wschodzie jako kraj kulturowo uformowany przez religię chrześcijańską i religię tę niosący innym.

Jak już wspomniano, cieszył się Szajnocha znacznym społecznym uznaniem jako autor znanych i niezwykle poczytnych prac historycznych, pisanych barwnym, plastycznym językiem. Ceniony był ponadto za rzetelność, autentyczną erudycję i pracowitość. Znany był z korzystania w swojej pracy z możliwie najszerzego zestawu źródeł – posiłkował się kronikami niemieckimi, ruskimi, węgierskimi, francuskimi, litewskimi i hiszpańskimi. Wyrazem szacunku, jakim się cieszył, były dwukrotne starania o objęcie przez niego katedry historii na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1850 i 1862, zakończone jednak niepowodzeniem (lepiej widziany od Szajnochy okazał się znany ze swego manifestowanego lojalizmu Antoni Walewski).

Lwowskie środowisko plastyczne od początku XIX wieku do II wojny światowej

Z Warszawy otrzymaliśmy sygnał o powstaniu bardzo ciekawej pracy – patrz tytuł – autorstwa historyka sztuki p. Sławomira Boidoka, który stosowne informacje zebrał, skomentował i zredagował. Opracowanie jest, jak się dowiadujemy, dość obszerne, bo obejmuje około 450 stron (tylko jakiego formatu? – to nie obojętne), a jego treść merytoryczna zamyka się w 12 rozdziałach, stanowiących – jak czytamy w nagłówku – indeks malarzy, rzeźbiarzy, grafików, związków i grup artystycznych (przede wszystkim polskich), Państwowej Szkoły Przemysłowej i Państwowego Instytutu Sztuk Plastycznych, a także handlu dziełami sztuki we Lwowie, w czasie podanym w tytule.

Z materiałów S. Boidoka mamy na razie nadesłane nam Wprowadzenie, które wraz ze spisem rzeczy chcielibyśmy poniżej przedstawić.

Pan Boidok, jak nam napisał, jest w trakcie starań o książkowe wydanie wspomnianego indeksu, tym niemniej, być może, udostępni nam do publikacji któryś z wybranych rozdziałów. W tej chwili najbardziej odpowiadałby nam rozdział pt. *Lwów artystyczny*. Oczywiście najpierw musimy się z tym materiałem zapoznać.

SPIS RZECZY

Wprowadzenie

- Lwów – historia i społeczeństwo
 - Lwów artystyczny:
 - kolekcjonerzy lwowski
 - malarstwo lwowskie
 - grafika lwowska
 - rzeźba lwowska
 - sztuka użytkowa we Lwowie
 - architektura lwowska
 - Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie (i inny ruch wystawienniczy)
 - publiczne szkolnictwo artystyczne we Lwowie
 - historia przemian w nazewnictwie i statusie szkół:
 - Miejskiej Szkoły Rysunków i Modelowania
 - Powszechnej Przemysłowej Szkoły Rysunków i Modelowania
 - ck Szkoły dla Przemysłu Artystycznego
 - ck Państwowej Szkoły Przemysłowej
 - Wydziału Przemysłu Artystycznego
 - (Wydz. Sztuk Zdobniczych) Państwowej Szkoły Przemysłowej
 - Państwowej Szkoły Technicznej z Wydziałem Przemysłu Artystycznego, a następnie z:
 - Państwowym Instytutem Sztuk Plastycznych
 - prywatne szkoły artystyczne we Lwowie
 - Wolna Akademia Sztuk Pięknych (WASP)
 - szkoły sztuki stosowanej
 - Związki i grupy artystyczne we Lwowie
 - alfabetyczny indeks artystów lwowskich
 - handel sztuką i placówki handlu we Lwowie
 - fałszerstwa
 - hale aukcyjne – licytacje
 - handel sztuką w okresie II wojny światowej we Lwowie
 - placówki handlu sztuką we Lwowie w XIX i XX wieku
- i inne, mniej istotne, które tu pomijamy.

Powyższy spis rozdziałów daje nam próbkę ciekawej problematyki, jaka istniała we Lwowie w dziedzinie twórczości artystycznej, szkolnictwa artystycznego i handlu dziełami sztuki, i w jakimś sensie dopełnia obraz kultury i życia społecznego w naszym Mieście przed katastrofą II wojny światowej. ►

► Karol Szajnocha zmarł we Lwowie 10 stycznia 1868 roku. Pochowany został na Cmentarzu Łyczakowskim. Wpływ, jaki wywarł w nauce historycznej, widoczny był w twórczości Władysława Łozińskiego i Bernarda Kalickiego, a pośrednio także Adolfa Pawińskiego, Stanisława Smolki i Ludwika Kubali.

BIBLIOGRAFIA

- Malczewska-Pawelec D., *Karol Szajnocha (1818–1868)*, w: *Złota księga historiografii lwowskiej XIX i XX wieku*, pod red. J. Maternickiego, Rzeszów 2007
- Maternicki J., *Historia i życie narodu. Poglądy i postawy historyków polskich XIX i XX w.*, Rzeszów 2009
- Wierzbicki A., *Historiografia polska doby romantyzmu*, Wrocław 1999

► WPROWADZENIE (skróót)

Artyści lwowscy, w zaistniałej po 1945 roku sytuacji geopolitycznej, zasłużyli sobie na to, aby ich nazwiska wyodrębnić, choćby po to, by nie rozmyły się one w stale powiększającej się liczbie nowych polskich malarzy, rzeźbiarzy i grafików. Im bowiem dalej w wiek XXI, tym bardziej zaciera się w pamięci żyjących historia kultury i sztuki, którą tworzyli lwowiacy. Wydarzenia minione, które doprowadziły do tego, że Lwów znalazł się poza obecnymi granicami kraju, pozostawmy osądowi kolejnych pokoleń, które z większym dystansem będą patrzyły na te sprawy, ale nie wolno ani nam, ani następcom zapominać o przeszłości Lwowa, o jego dokonaniach naukowych i gospodarczych oraz o wartościach literackich, muzycznych, teatralnych, architektonicznych i plastycznych, które tam zaistniały.

Dr Bronisław Czarnik – w wydanej własnym sumptem we Lwowie w 1906 r. broszurze pt. *A cóż dla Lwowa? Kilka uwag na czasie* – pisał i pytał (na s. 8): ... *czy Lwów jako z trzech największych naszych ognisk cywilizacyjnych nie powinien zapoznać nas z... sztuką polską? Sztuka ta z lat ostatnich... jest tak bardzo bogata, że aby dać z niej jakie takie wyobrażenie, trzeba by, tworząc galerię czy galerie, postępować z prawdziwą znajomością rzeczy. Należałoby przedstawić w nich każdego wybitnego malarza czy rzeźbiarza w kilku obrazach lub rzeźbach charakteryzujących dobrze... jego talent. Można by pomyśleć o tym, aby któryś ze zbiorów naszych dał nam obraz historycznego rozwoju sztuki lwowskiej, dążył do możliwego zgromadzenia obrazów i rzeźb artystów, którzy czy to na stałe, czy to przez jakiś czas przebywali i pracowali we Lwowie.*

Nawiązując do powyższych słów, *Studium o środowisku plastycznym we Lwowie* jest prezentacją przede wszystkim malarzy, grafików i rzeźbiarzy, którzy tę sztukę tworzyli, oraz marszandów, którzy nią handlowali, przede wszystkim w wiekach XIX i XX. By usytuować w czasie i w miejscu wymienione postacie, omówiono pokrótce historię miasta, środowiska artystyczno-kulturalnego oraz dzieje tamtejszych galerii obrazów i rzeźb. Zakres czasowy *Studium* zamyka

się w latach od przełomu XVIII/XIX wieku do 22 września 1939 r., a w pewnym stopniu do 1944 roku. Jurij Biriulow, ukraiński historyk sztuki pracujący we Lwowie, uważa co prawda, że dopiero 27 lipca 1944 r., dzień końca okupacji hitlerowskiej, jest *kresem rozwoju rzeźby lwowskiej w I połowie XX wieku*, ale moim zdaniem, prawdziwą cezurą dla życia polskiego we Lwowie było zajęcie miasta przez wojska sowiektów 22 września 1939 r. Ich wejście odmieniło gruntownie bytowanie miejscowych i uciekinierów z zachodniej i centralnej Polski, którzy tam się schronili. Okupacja niemiecka też nie była sielanką, stąd okresu między 1939 a 1944 rokiem nie można uznać za *normalny*, taki, jaki istniał przedtem.

Innym powodem zakreślenia ram *Studium* do XIX i XX wieku jest fakt, iż tylko z tego okresu pojawiają się na naszym rynku sztuki dzieła lwowskich artystów, o których obecni marszandzi i ich klienci do niedawna mieli słabe rozeznanie.

Główną częścią *Studium* jest Indeks artystów plastyków, w tym architektów, którzy rysowali, malowali i wystawiali, oraz marszandów lwowskich.

W Indeksie w pierwszym rzędzie wymieniono malarzy, ale uwzględniono również działalność grafików artystycznych i użytkowych i osoby uprawiające rozmaite odmiany sztuki użytkowej, a także rzeźbiarzy i kamieniarzy, pod którym to określeniem kryją się głównie rzemieślnicy – producenci i wykonawcy nagrobków oraz architektonicznych elementów dekoracyjnych. Część z nich miała wykształcenie akademickie. Ogółem było tych rzeźbiarzy, snycerzy, sztukatorów i wykuwaczy w kamieniu tak wielu, iż uznałem, że zamieścić mogę tylko nazwiska znaczniejszych. O tyle czuję się rozgrzeszony, że w 2007 r. ukazała się szczegółowa publikacja Jurija Biriulowa, która rzeźbę we Lwowie omawia dokładnie.

W Indeksie obok polskich twórców zasygnalizowana jest również obecność artystów austriackich, niemieckich, czeskich i innych, którzy od przełomu XVIII i XIX w. po połowę XX w. uczestniczyli w życiu artystycznym miasta. Uwzględniono także artystów ukraińskich, którzy ściślej związani byli ze środowiskiem polskim oraz artystów polskich żydowskiego pochodzenia. Dla oddania barwności tamtejszego grona

artystycznego są umieszczone w Indeksie sylwetki niektórych osób uprawiających po amatorsku sztuki piękne, na tyle jednak profesjonalnie, że zostały odnotowane w *Słowniku Artystów Polskich*.

Indeks w zasadzie obejmuje twórców, którzy mieszkali we Lwowie i w swym dorosłym, zawodowym życiu uprawiali tam sztukę przez czas jakiś. Wyjątkowo zamieszczeni są plastycy, którzy nie mieszkali we Lwowie, ale bardzo silnie związani byli z tamtejszym środowiskiem w sensie organizacyjnym i uczestniczyli w wystawach w tym mieście.

Indeks uwzględnia niektórych znanych artystów ze Lwowa przebywających stale za granicą [wzmianki lub noty], będących w ścisłym kontakcie z rodzinami i z tamtejszym środowiskiem artystycznym.

Indeks nie odnotowuje osób, które rozpoczęły studia plastyczne we Lwowie tuż przed lub w czasie II wojny światowej, a których dorosła zawodowa działalność, a nawet sukcesy artystyczne przebiegały już w granicach Polski po 1945 r. i w zupełnie innych środowiskach.

Odrębną częścią jest wykaz nazwisk antykwariuszy, marszandów lub nazw firm handlujących sztuką we Lwowie, które działały mniej więcej od połowy XIX w. aż po wrzesień 1939 r., a nawet do 1944 roku.

Na ile się orientuję, jest to pierwsza próba uchwycenia i odnotowania tego specjalistycznego handlu we Lwowie. Przy opracowywaniu tej części oparłem się głównie na materiałach drukowanych dostępnych w krajowych bibliotekach i w internecie. Stąd mogą tam się znaleźć jakieś niedokładności lub pomyłki.

W *Studium* znalazł się także rozdział dotyczący Państwowej Szkoły Przemysłowej we Lwowie. Była to jedyna w mieście – najpierw na poziomie zawodowym, a potem średnim – szkoła z działami artystycznymi. Jej skomplikowane nazewnictwo oraz historia sprawia, że konieczne stało się omówienie roli PSPL w środowisku lwowskim oraz jej kontynuatora, czyli Państwowego Instytutu Sztuk Plastycznych.

Studium powstało w oparciu o materiały dostępne w Polsce, nie pretenduje zatem do pełnego wyczerpania tematu. Nie miałem możliwości badania we Lwowie materiałów archiwalnych, magazynów muzealnych czy

bibliotecznych, tak jak np. Jurij Biriulow tam pracujący. Kiedy się zabierałem do tego tematu, w połowie lat 1980., nie było łatwo wyjechać do Lwowa, a na poruszanie publiczne spraw lwowskich nie patrzono przychylnie. Wtedy to dla antykwariuszy zatrudnionych w PP „DESA” przygotowałem *Wykaz artystów plastyków środowiska lwowskiego w latach 1900–1939*, który został wydany jako druk wewnętrzny Desy, w ilości 60 egzemplarzy w 1990 roku.

Kolejnym impulsem do zajęcia się lwowskimi artystami było dostrzeżenie, że informacje o tej historycznie już zamkniętej grupie osób są rozproszone. Daleko jeszcze do ukończenia i wydania całego *Słownika Artystów Polskich*. Są co prawda opracowania dotyczące poszczególnych postaci, takich np. jak Kazimierza Sichulskiego, Luny Drexler, Anny Harland-Zajączkowskiej, Margit i Romana Sielskich, Leopolda Lewickiego i innych. Jest omówiona szczegółowiej działalność np. Zrzeszenia „artes”, a pobieżniej liczne środowiska lwowskich artystów żydowskich czy Związku Artystów Polskich we Lwowie. Została dokonana próba uchwycenia twórczości grafików lwowskich w postaci katalogu Ireny Rylskiej z MN we Wrocławiu czy omówienia ich działalności w książkach Marii Grońskiej i Ireny Jakimowicz. Wyszedł katalog zbiorów MN we Wrocławiu *Sztuka polska XX w.* w 2000 r. Jest w internecie prezentowany wykaz członków [48 osób] Lwowskiego Związku Zawodowego Artystów Plastyków, który niestety nie podaje pełnej listy członków.

Według *Głosu Plastyków* z 1938 r., Związek liczył 78 osób, obejmując tym samym w ramach organizacji prawie wszystkich artystów pracujących twórczo we Lwowie.

Są wreszcie publikacje Dmitrija Szelesta o Miejskiej Galerii Malarstwa i Jurija Biriulowa o lwowskiej secesji i o środowisku rzeźbiarskim. Także wiele interesujących informacji przynoszą: wydana przez Muzeum Regionalne w Stalowej Woli publikacja Anny Bancekowej pt. *Szlakiem architektury art deco Lwów* (Stalowa Wola 2008) oraz opublikowany w 2009 r. znakomity album Anny Agnieszki Szablowskiej i Marianny Seńkiw *Plakat polski* ze zbiorów Muzeum Etnografii i Przemysłu Artystycznego we Lwowie.

Nie znalazłem jednak ani wśród krajowych opracowań naukowych, ani wśród

rozlicznych wspomnień rodowych lwowiaków, publikujących swoje dzieje drukiem lub w internecie, próby policzenia i zestawienia, ilu to naprawdę, od końca XVIII w., w XIX i w XX stuleciu, żyło i działało we Lwowie ludzi, którzy tworzyli sztukę, uczyli jej w szkołach lub na prywatnych kursach, którzy tą sztuką handlowali. Tę lukę próbuje wypełnić niniejsze *Studium*. Wiadomo, jak to w życiu, że liczba takich osób bywa płynna, ale zawsze istniał pewien stabilny trzon kreujący to środowisko.

[...]

Autor dokładał starań, by rzetelnie zestawić fakty, zebrać nazwy i nazwiska i ma nadzieję, że uniknął poważniejszych pomyłek, opuszczeń lub przeinaczeń, choć nie ukrywa, że na wiele spraw patrzył z dzisiejszego punktu widzenia. Wszystkie wytyśzczenia w tekście, wszystkie nazwy lub określenia w nawiasach kwadratowych oraz interpretacja zdarzeń, poza cytatami, pochodzą od autora.

Autor *Studium* swymi korzeniami nie jest ze Lwowem związany, a jedynie ciekawość historyka sztuki skłoniła go do podjęcia próby policzenia artystów plastyków od końca XVIII w. i antykwariuszy oraz zaprezentowania, w tym samym okresie, obrazu tego środowiska.

* Dr Bronisław Czarnik (1857–1918), kustosz w Ossolineum, zamieszkały przy ul. Łyczakowskiej 48.



Z ks. ALFONSEM GÓROWSKM

rozmawia Janusz M. Paluch

Mieliśmy okazję się poznać w Kołomyi w czerwcu 2002 r. Podejmował ksiądz wtedy popularny polski zespół Stare Dobre Mażeństwo, który dzięki Generalnemu Konsulatowi RP we Lwowie wędrował ze swą pieśnią po Kresach. Pytanie, w jaki sposób polski ksiądz z Diecezji Tarnowskiej trafił na Kresy, zadawałem pewnie podczas tego spotkania. Teraz, zachęcając Księdza do wspomnień o tamtych latach, ponawiam je...

Już w czasie studiów w Seminarium Duchownym myślałem o tym, że chętnie podjąłbym pracę duszpasterską na Kresach. Oczywiście nie było to wtedy ani skonkretyzowane, ani możliwe, przecież to był jeszcze okres schyłkowego Związku Sowieckiego. A i w Polsce, choć komuna już się ślaniała, to jednak miała się jeszcze całkiem dobrze. Na kapłana zostałem wyświęcony w 1987 r. przez ks. bpa Jerzego Ablewicza, ordynariusza tarnowskiego.

Skąd wtedy taki pomysł? Z tego co wiem, nie ma ksiądz żadnych rodzinnych związków z Kresami.

W czasach, kiedy w Polsce rodziła się pierwsza Solidarność, byłem uczniem Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Długosza w Nowym Sączu. Docierała do nas literatura podziemna, z której chętnie korzystaliśmy. Wtedy pierwszy raz czytałem pamiętniki ks. Bukowińskiego, który prowadził duszpasterską pracę na terenie ZSRS. Te wspomnienia były poruszające. I na pewno pragnienie misyjnej pracy na wschodzie rodziło się we mnie już wtedy. Po święceniach kapłańskich ksiądz biskup podjął jednak bardzo słuszną decyzję, abym popracował jakiś czas w rodzimej diecezji, by nabyć doświadczenia kapłańskie w warunkach typowo polskiej parafii. Tym bardziej że wtedy nie było jeszcze warunków do podjęcia normalnej pracy duszpasterskiej na wschodzie. Taka możliwość pojawiła się dopiero około 1989 r. po spotkaniach papieża Jana Pawła II z Michaiłem Gorbaczowem. Wtedy na wschód pojechali do pracy misyjnej pierwsi kapłani z Polski. Ja chciałem pojechać już w 1991 r., ale nie pozwoliła na to sytuacja w parafii Bar-

cice, w dolinie Popradu, gdzie pracowałem jako wikariusz. Spędziłem tam pięć niezapomnianych lat. Piękna parafia i jakże dobrze się tam pracowało! Wiele się tam nauczyłem, a te doświadczenia owocowały potem w pracy na Kresach. W Barcicach zatrzymały mnie najpierw choroba księdza proboszcza, potem jego śmierć. Mój wyjazd na wschód trochę się odciągał. Dopiero w 1992 r., kilka miesięcy po powstaniu państwa ukraińskiego, za zgodą ks. biskupa Józefa Życińskiego, wyjechałem na Kresy. We Lwowie zgłosiłem się do ks. metropolity arcybiskupa Mariana Jaworskiego, który skierował mnie do pracy w Tarnopolu.

Czy to był pierwszy wyjazd księdza w tamte strony?

W 1991 r. udało mi się wyjechać na taką krótkotrwałą postugę kapłańską do Bukowiny w Rumunii, w okolice Suczawy. Wyjechalśmy z kolegą, ks. Adamem Urbańskim, na wakacyjny kurs służby liturgicznej do miejscowości Solonetul Nou, czyli do Szołńca Nowego nieopodal Kaczyki. Mieszkają tam Polacy, potomkowie rodzin górniczych, którzy budowali kopalnię soli w Kaczyce. Większość ludzi zamieszkujących okoliczne miejscowości to Polacy używający na co dzień języka polskiego, gwary lachowskiej. To było bardzo ciekawe doświadczenie. Pierwsze szokujące zadziwienie to 36 godzin spędzonych na granicy radziecko-rumuńskiej! Tam się odbywały wtedy sceny dantejskie, strach w oczach! Zastanawialiśmy się, gdzie my jesteśmy! W końcu dotarliśmy na miejsce. Spotkanie z ludźmi, którzy po tylu latach potrafili zachować polskość, kulturę i tradycję, w tym świecie przecież prawosławnym, to był dla nas bardzo pozytywny impuls. Kościół rzymskokatolicki trzymał się tam dość mocno. Sanktuarium w Kaczyce, do którego jechaliśmy, wybudowane zostało też przez górników bocheńskich.

Mówimy o pięknym neogotyckim kościele wzbijającym ku niebu swe wieże nieopodal kopalni soli...

Tak, to wspaniała świątynia wzniesiona wg projektu architektonicznego prof. Teodora Talowskiego, który zaprojektował też kościół pw. św. Elżbiety we Lwowie oraz kościół Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Tarnopolu, wyburzony dopiero w 1954 r. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że za jakiś czas będę głosił Słowo Boże właśnie w Tarnopolu... Mieszkaliśmy wówczas w uroczym Szołńcu, gdzie jest



niewielki kościół, bywaliliśmy też w dojazdowej wtedy kaplicy w górskiej miejscowości Poiana Mikuli. Jeździliśmy tam furmanką! To była moja pierwsza przygoda misyjna!

Wróćmy do roku 1992, kiedy został ksiądz skierowany na teren Kresów, do Tarnopola.

To był początkowy okres organizowania się parafii w Tarnopolu. Dojeżdżał tam wówczas z Buczacza w niedzielne popołudnia ks. Ludwik Rutyna. Postać nietuzinkowa. Kapłan, któremu tamten region wiele zawdzięcza. Warto odnotować odległość z Buczacza do Tarnopola – 60 km. W Tarnopolu odprawiał w niedzielę dwie msze święte i jedną w poniedziałek rano – w zrujnowanej kaplicy na cmentarzu na Mikulinieckiej Górze. Tam od listopada 1991 r. gromadzili się Polacy. W poniedziałek wracał do Buczacza, gdzie organizował pięć kolejnych wspólnot. Kiedy tam przyjechałem, najpierw zamieszkałem pod Tarnopolem w Hałuszczycach u ks. dziekana Michała Jaworskiego. Dojeżdżałem każdego dnia do Tarnopola 40 km. Po jakimś czasie znalazłem mieszkanie u polskiej rodziny w Berezowicy Wielkiej pod Tarnopolem, u państwa Dorożyńskich. Stamtąd miałem już tylko 4 km do kaplicy na tarnopolskim cmentarzu. Życie religijne w Tarnopolu toczyło się w tej kaplicy, bowiem tamtejsze władze nie oddały nam żadnego kościoła. Z czasem w kaplicy zrobiłem remont dachu, zainstalowałem ogrzewanie podłogowe, dobudowałem chór. Po tych przebudowach i remontach kaplica mogła pomieścić ok. 150 osób. Z roku na rok przybywało w naszej tarnopolskiej wspólnocie

wiernych, a więc zwiększałem też liczbę odprawianych mszy św. W tamtym czasie odbywały się cztery niedzielne msze i jedna w tygodniu.

Proszę przybliżyć nam postać ks. Rutyny...

To był kapłan urodzony w Podzameczku koło Buczacza i wyświęcony jeszcze we Lwowie. Świecenia przyjął w czasie okupacji. Jako młody ksiądz został wikariuszem w parafii w Baworowie pod Tarnopolem. W 1944 r. przyszli na plebanię banderowcy, wyprowadzono księdza proboszcza i organistę, którego zastrzelono od razu. Próbowano ująć też ks. Ludwika. Ale jakimś cudem udało mu się wyskoczyć przez okno, a granat, który rzucono za nim, nie eksplodował. Ukrył się na wieży kościoła, gdzie przebywał około dwóch tygodni. Był poszukiwany, ale na szczęście nie znaleźli go. Potem ukrywał się, aż przedostał się przez granicę do nowej Polski. Był długoletnim proboszczem w Kędzierzynie-Koźlu. Kiedy był już na emeryturze, w 1989 r., przyjechał na Ukrainę i objął placówkę w Buczaczu. W cerkwi w rodzinnym Podzameczku odnalazł konfesjonał z kościoła, przy którym przystąpił do pierwszej spowiedzi, a w kościele w Buczaczu odnalazł chrzcielnicę, przy której był chrzczony. Przy pomocy parafian z Kędzierzyna-Koźla i sponsorów z Dolnego Śląska odbudowywał kościoły, podnosił z ruin. Dzisiaj, kiedy się zwiedza kościół w Buczaczu czy w Złotym Potoku, Koropcu albo Uściu Zielonym, trzeba mieć świadomość, że te świątynie stanęły ponownie dzięki księdzu Rutynie. Jest to duże wielkie dzieło odnowy nie tylko tych świątyń, ale przede wszystkim wspólnot w tych wszystkich miejscowościach. W ubiegłym roku miałem okazję wizytować Buczacz, więc ponownie mogłem patrzeć na owoce jego pracy. Ks. prałat Ludwik Rutyna zmarł w roku 2011 i do końca, mimo zaawansowanego wieku, prowadził pracę duszpasterską. Pozostawił po sobie piękne świadectwo w diecezji lwowskiej.

Czy podejmował ksiądz próby odzyskania innego kościoła na terenie Tarnopola? Przecież to było miasto wojewódzkie, w którym było kilka świątyń rzymskokatolickich.

Ze wspólnotą tarnopolską podjęliśmy próby odzyskiwania naszych kościołów. Został jeszcze przepiękny kościół dominikański z XVIII w. projektowany przez Jana de Witte, kościół jezuitski został zamieniony na „szwejną” fabrykę, którą później odsprzedano Niemcom. Ten zakład upadł – byłem tam w czerwcu tego roku,

wszystko pozamykane, nic się nie dzieje. Trzeci kościół, wspomniany wcześniej, został wysadzony w powietrze za czasów Chruszczowa. Próby odzyskiwania kościoła pojezuickiego okazały się dla mnie mało przyjemne. Podałem miasto w tej sprawie do sądu arbitrażowego, co skończyło się wydalaniem mnie poza województwo tarnopolskie w 1996 r. Proszę nie myśleć, że odbyła się jakaś rozprawa. Po prostu nie dostałem od pełnomocnika do spraw religii pieczętki umożliwiającej mi dalszą pracę. Obecnie w Tarnopolu pracuje, pochodzący z Ryglic, ks. Andrzej Malig, mój kolega z roku w seminarium duchownym. W końcu udało mu się zdobyć plac pod budowę kościoła. Wybudował najpierw dom parafialny, w którym zaaranżował kaplicę, a później przepiękny, nowoczesny kościół, nawiązujący do tradycji neogotyckiej, który przed trzema laty był konsekrowany. Ta parafia bardzo dobrze się rozwija, jest bardzo mocnym ośrodkiem Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie. A ja od 1996 r. zostałem proboszczem w stolicy Huculszczyzny – Kołomyi.

Zanim jednak przejdziemy do pięknej Kołomyi, proszę opowiedzieć o swej pracy w okolicach Tarnopola. To księdzu przypadła rola pobudzania i animowania tych nowych wspólnot do życia...

Rzeczywiście, ale tak naprawdę to mamy do czynienia z wolą miejscowych wiernych, którzy docierali do naszego kościoła w Tarnopolu na msze święte. Jeżeli w takiej miejscowości była grupa wiernych na tyle duża i odważna, że podpisała się pod wnioskiem o zarejestrowanie wspólnoty, to takich czynności się dokonywało. Tak było z grupą mieszkańców z Brzeżan. Przyjeżdżali do Tarnopola, ale kiedy już była ta grupa na tyle duża, że zostali zarejestrowani, to przy mojej pomocy sprowadziliśmy księdza Mieczysława, który został tam proboszczem i już tę nową parafię organizował i prowadził. Msze początkowo odprawiane były w prywatnym mieszkaniu, ponieważ kościół zamieniony był w salę gimnastyczną. Po jakimś czasie władze pozwoliły odprawiać nabożeństwa w dawnej zakrystii, a później, z okazji większych świąt, w sali gimnastycznej. A jak już zawieszono tam krzyż, to nie ośmielili się go zdjąć. I takimi małymi krokami zmierzano do odzyskania świątyni. Poza tym obiekt był już tak zdewastowany, z dziurawym dachem, że utrzymywanie tam sali gimnastycznej, którą musieliby remontować,

a to przecież kosztuje, im się już nie opłacało. W końcu, po wielu latach, miejscowe władze ustąpiły. Oddano nam kościół, który jest już wyremontowany. Pracy było dużo, trzeba było zdjąć nadbudowane piętro i wybudować nowy dach. Zajęło to wiele lat pracy kilku kapłanów, którzy tam byli proboszczami! Podobnie było w Złoczach... W kościele zrobili jakiś skład kolchozowy. Kiedy przyjeżdżałem do wiernych, spotykałem się też z władzami kolchozu. Byli nam przychylni. Dyrektor kolchozu mówił, że właściwie ten magazyn nie jest im potrzebny, że wiele rzeczy mogą przenieść w inne miejsce. Na co ja szybko zareagowałem – to chyba my możemy się tam modlić... Na to dyrektor: – *A przecież nic nie stoi na przeszkodzie...* – *No to proszę mi klucze dać do tego magazynu* – odpowiedziałem. I już mieliśmy klucze do świątyni, chociaż nie było jeszcze oficjalnego pozwolenia na działalność wspólnoty. Ale zaczęliśmy odprawiać nabożeństwa. Dopiero później przyszły oficjalne pozwolenia i trwały procedury przekazania naszej wspólnoty kościoła. Kiedy już formalności zostały załatwione po naszej myśli, przystąpiliśmy do remontu. Jak zawsze, zaczynaliśmy od dachu, żeby deszcz nie lał się do środka. A potem, już mój następcza, doprowadził do remontu wnętrza. Figury z kościoła przez te trudne lata przechowywali parafianie. Kiedy chodziłem po kolędzie, dowiadywałem się, że u jednych jest figura Matki Bożej, u innych figura św. Jana. Ludzie modlili się w domach przy tych figurach. Docierałem też do Petrykowa i Jezierniej. W Jezierniej spotykaliśmy się w prywatnym domu. W kościele znajdował się skład jakichś materiałów. Trudno było odzyskać świątynię, ale mojemu następcy w końcu się udało. Kościół żywy istniał, doświadczałem tego na każdym kroku! Nie było kapłanów, nie było sprawowanej mszy świętej, ale ci najwieńsi i najodważniejsi korzystali z tych kilku ośrodków, które pozostały otwarte. A najbliżzej Tarnopola były to Lwów i Złoczów.

To spory kawałek drogi od Tarnopola...

Wierni na Kresach nie mieli wyboru. Ze Złoczowem jest związana historia ks. bpa Jana Cieńskiego. Miałem jeszcze zaszczyt i przyjemność poznać go, choć był już bardzo schorowanym i leciwym człowiekiem. Opowiedziano mi wprost niewiarygodną historię o tym, w jaki sposób udało mu się zostać po wojnie w Złoczowie. Kapłani byli zmuszani do opuszczania parafii wraz z wiernymi i ekspatriowani najczęściej na Ziemię Zachodnią. Księdza Cieńskiego



to jednak nie objęło. Dlaczego?... Pewnego zimowego mroźnego dnia został wezwany do chorego. Po drodze znalazł ciężko postrzelonego człowieka. Był to oficer KGB. Uratował mu życie. Ten oficer, kiedy już doszedł do siebie, odwiedził ks. Cieńskiego i zapytał go: – *Co chcesz za to, co zrobisz?* Ksiądz bez namysłu odpowiedział: – *Chcę zostać w tym kościele, w Złoczowie.* I został w nim bez przerwy do dnia śmierci w roku 1993. Byłem na jego pogrzebie. Dopiero wtedy, podczas uroczystości pogrzebowych, oficjalnie ogłoszono, że śp. ks. Jan Cieński był biskupem *in pectore* dla tych terenów. I rzeczywiście, okazało się, iż wyświęcił kilku księży zarówno w obrządku rzymskokatolickim jak i w grekokatolickim. I dzięki niemu ta parafia przetrwała najcięższe lata. Ale nie tylko w Złoczowie, bo przecież i w okolicy. W Tarnopolu miałem jego parafian z Woroniaków. Co ciekawe, Polacy z Woroniaków nie wyjechali. Mimo silnej presji na nich wywieranej tak byli przywiązani do swej ziemi

i do ks. Cieńskiego, który przecież pozostał. I dzięki takiemu podejściu uratował się też ośrodek katolicki w Woroniakach.

Świadectwo wiary i polskości dawali też Polacy w różnych miejscach na Kresach. Czy miał ksiądz okazję spotkać innych legendarnych kapłanów z tamtych stron?

Poznałem ks. Ludwika Mednisa. To był spolszczony Łotysz. Pracował na terenie parafii Chodorów. W czasach radzieckich był proboszczem i dziekanem w Stryju. Miał przeróżne talenty, przepięknie odnawiał szaty liturgiczne, stare gotyckie ornaty. Lubował się w sztuce kościelnej. Był też świetnym kucharzem, czego doświadczyliśmy odwiedzając go przy okazji imienin. Potem, jak powstała diecezja łucka, pracował jako sekretarz biskupa. Wśród tych starszych księży muszę wymienić też ks. bpa Marcjana Trofimiaka. Kiedy rozpoczynałem pracę w Tarnopolu, pracował w Krzemieńcu. W Czerniowcach proboszczem był ks. Krajewski. Zmarł w początkach mojej pracy w Kołomyi. Moi parafianie jeździli do kościoła do Czerniowca, to tylko 70 km, a do Lwowa 200 km. Kościół w Czerniowcach działał przez cały czas. Czerniowce położone są już na Bukowinie, gdzie nie było szowinizmu i nacjonalizmu. W latach II wojny światowej Czerniowce należały do Rumunii. Dlatego też część tamtejszej wspólnoty żydowskiej się uratowała. Warto odwiedzić dobrze zachowany kirkut w Czerniowcach. Tam bardzo dobrze współpracowały ze sobą towarzystwa polskie, żydowskie i niemieckie. To wielokulturowe miasto o pięknych tradycjach. Trzeba wymienić też ks. Krzyżkę, który urodził się na Ukrainie, ale seminarium duchowne skończył w diecezji częstochowskiej. Pracował najpierw w Mikulińcach, a potem w Kopyczyńcach.

Proszę opowiedzieć o Polakach, których ksiądz zastał na Kresach. Jakie wrażenie na księdzu zrobili?

Polaków na Kresach dawnej II Rzeczypospolitej pozostało niewiele. Ten teren objęty był przesiedleniami. Polaków ekspatriowano. Kiedy przybywali tam kapłani z początkiem lat dziewięćdziesiątych, to spotykali kilkunastoosobowe grupy Polaków, które same się aktywizowały. Po pół roku pracy ks. Ludwika Rutyny w Tarnopolu objąłem wspólnotę liczącą już 50–60 osób, w której rzeczywiście zdecydowaną większość stanowili Polacy – było ich ponad 90%. Wiekowo byli to ludzie urodzeni

jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, a więc ludzie starsi, głównie kobiety. Mężczyźni poszli na wojnę i albo zginęli, albo nie mieli już do czego wracać. Wcześniej tereny te były objęte eksterminacją OUN–UPA, która zgotowała Polakom krwawą rzeźnię, a potem ostatecznie weszły w skład ZSRS. Wspólnota tarnopolska złożona była w większości z wdów albo osób, które jako dzieci przeżyły piekło ludobójstwa ukraińskiego na Polakach. Po wojnie do Tarnopola przybyła też spora grupa Polaków z Ukrainy wschodniej czy środkowej, z rejonu Żytomierza i Winnicy. Tam żyło wielu Polaków. Tarnopol rozbudowywano w związku z rozwijającym się przemysłem. Potrzeba było rąk do pracy. Za czasów sowieckich Tarnopol z miasteczka, liczącego przed wojną 28 tysięcy ludności, stał się metropolią liczącą około 250 tysięcy mieszkańców. Wśród Polaków przybyłych do Tarnopola z głębokiej Ukrainy byli ludzie niezwykle wartościowi pod względem religijnym. Mimo że przeszli przez czasy zaborów i porewolucyjnej sowieckiej władzy, zachowali wiarę, ale język polski już nie tak dobrze. Posługiwali się językiem ukraińsko-rosyjskim. Im dalej na wschód, tym więcej naleciałości rosyjskich... Ale modlitwę odmawiali w języku polskim. Teksty modlitw były przekazywane z pokolenia na pokolenie. Byli bardzo gorliwymi katolikami. I to oni stanowili już większość moich parafian w Tarnopolu. Z miejscowych Polaków, po przesiedleniach, została naprawdę garstka. Z czasem odnajdywali się kolejni. Jak wspominałem, kiedy przyszedłem do Tarnopola, nasza wspólnota liczyła ok. 60 osób. Kiedy poszedłem do urzędu, to się zorientowałem, że w Tarnopolu zarejestrowanych jest około 1200 Polaków! Mówimy o tej grupie, która w paszporcie miała wpisane *Polak*. Oczywiście z tej grupy było z nami tylko kilkanaście osób. Reszta była wykorzeniona zarówno z polskości, jak i z wiary. Na Ukrainie utożsamiano religię z narodowością. Mówiono: *Polak to katolik*, szczególnie na Ukrainie wschodniej. Z biegiem czasu Kościół stawał się tam jednak coraz bardziej rzymskokatolicki niż polski. Ta reguła stawała się anachroniczna. W Kijowie opowiadali nawet taki żart: Wśród ludzi wychodzących z kościoła po mszy świętej zauważono ciemnoskórych. Ktoś zdezorientowany zapytał: *Nehry to też Poliaki?* Po roku pracy zauważyłem, że mimo iż tarnopolska wspólnota się rozwija, to wciąż w kościele nie widać młodych ludzi ani dzieci. W rozmowach, szczególnie podczas pierwszej

kolędy w Tarnopolu, pytałem: – *Dlaczego nie przyprowadzacie swoich dzieci i wnuków do kościoła? A oni mi mówią: – Bo nie rozumieją polskiego.* Dlatego już w 1992 r. wprowadziłem dodatkową mszę świętą w języku ukraińskim. Również katechizację prowadziliśmy dla dzieci po ukraińsku. Równocześnie wszyscy mieli też możliwość uczenia się języka polskiego. Wychodziliśmy z założenia, że jeśli ktoś jest polskiego pochodzenia, a nie zna rodzimego języka, to kiedy go opanuje, będzie też miał możliwość uczestniczenia w liturgii mszy św. odprawianej po polsku. Zdawaliśmy sobie też sprawę, że większość naszych parafian pochodzi z rodzin mieszanych. Tak naprawdę to rodzin czysto polskich chyba nie było. Parafia musiała się w ten sposób otworzyć na Polaków nieznających języka polskiego.

Co spowodowało, że naraziliście się na zarzuty, że polscy księża ukrainizują Polaków na Kresach... Takie skargi płynęły do Polski z Kresów, a jeden z duchownych indagowany przeze mnie w tej sprawie odpowiedział, że Kościół nie jest po to, by prowadzić lektoraty języka polskiego.

Podkreślam wyraźnie, że chodziło głównie o Polaków nieznających języka polskiego. Przypominam też, że pierwszym zadaniem Kościoła jest docieranie z Ewangelią w sposób zrozumiały do wszystkich swoich odbiorców. Ale żeby nie potwierdzać też tego bolesnego dla ciężko pracujących polskich księży zarzutu, jaki często nam stawiano, że ukrainizujemy Polaków, przy parafiach organizowane były lektoraty języka polskiego. Nieraz sami księża podejmowali się prowadzenia takich lekcji języka i kultury polskiej. Uczyliśmy języka polskiego, opowiadaliśmy o polskiej kulturze, literaturze, sztuce i polskich tradycjach. Staraliśmy się niczego nie zaniedbywać. W Tarnopolu istniało też Towarzystwo Kultury Polskiej, a w jednej ze szkół powszechnych – nr 24 – była nauczycielka, która uczyła języka polskiego. Mnie też zatrudniono w ekskluzywnej szkole nr 3 w Tarnopolu. Ale to było tylko zatrudnienie, bo jak władze się dowiedziały, że ksiądz z Polski chce uczyć w szkole języka polskiego, od razu nastąpiła interwencja nacjonalistów i do rozpoczęcia przeze mnie zajęć nie doszło. Ale zatrudniony byłem... Jednak przy kościele czy przy Towarzystwie Kultury Polskiej nikt nam nie zabraniał prowadzenia zajęć z polskości. Dlatego oprócz języka polskiego uczono historii Polski, geografii, a także zakładano zespoły

ludowe. Dziecięcy zespół ludowy „Kołomyjka” założyłem w 1998 r. na podstawie tańców huculskich, choć wprowadzaliśmy też polskie tańce, jak krakowiak, polonez czy mazur, bo to były dzieci pochodzenia polskiego. Latami zbieraliśmy fundusze na stroje krakowskie i huculskie. Dzięki temu zespół „Kołomyjka” mógł pokazywać się i w Mrągowie, gdzie zdobył nawet Grand Prix i Nagrodę Prezesa Telewizji Polskiej. Byliśmy też zaproszeni na koncert galowy z okazji Święta Niepodległości Polski do Warszawy, do Teatru Powszechnego, gdzie występowały zespoły polonijne z całego świata. Ostatnie dwa lata są dla zespołu tragiczne. Notoryczny brak funduszy. A wszystko przez to, że pieniądze z Senatu RP na taką działalność na wschodzie przejęło MSZ. Ja co roku organizowałem warsztaty dla tego zespołu w Grywałdzie. Inicjatywa ta była tym cenniejsza, że w zajęciach brały udział polskie dzieci z Ukrainy i Polacy z Grywałdu. Mimo trudności zespół miał i ma do dziś w repertuarze tańce polskie i huculskie, ale także klasyczne.

Czy rzeczywiście takie posunięcie jak otwarcie się na język ukraiński spowodowało wymierne dla wspólnoty parafialnej korzyści?

Oczywiście! Przyniosło bardzo dobre efekty. Kiedy odchodziłem z Tarnopola po czterech latach pracy, to wspólnota liczyła już około 500 osób! Ludzie się do nas przekonywali, dzieci też, jak już złapały kontakt z księdzem i Kościołem, mając możliwość uczenia się języka polskiego, to niemal natychmiast zaczynały mówić po polsku! Na wschodzie ludzie mają doskonały słuch muzyczny, który ułatwia im poznawanie języków obcych. Nie miały też żadnego problemu z ortografią, bo w ich języku wszystko się wymienia. U nich inaczej się wymawia „h” i „ch”, nie ma więc możliwości popełnienia błędu! Tylko my jesteśmy już głusi, bo zatraciliśmy poczucie tej różnicy.

Proszę opowiedzieć o konkretnych osobach, które w sposób szczególny zasłużyły się dla wspólnoty?

Jest wiele takich osób, które powinno się wymienić. Są wśród nich także osoby już nieżyjące. Na pewno muszę wspomnieć państwa Krystynę i Tadeusza Dorożyńskich z Berezo-wicy. To oni udzielili mi w pierwszych miesiącach pracy w Tarnopolu azylu w swym domu. W prawdziwie polskim domu. Nazywałem go ambasadą polską w Tarnopolu. Tam się mówiło po polsku, świętowało po polsku, a pan



Tadeusz chlubił się tym, że w starym, przedwojennym dowodzie miał wpisana w rubryce narodowość: *Polak*, i to samo miał wpisane w dowodzie radzieckim. Gdy jego syn mieszkający w Kijowie, Eugeniusz, złożył wniosek o paszport i stwierdził przy odbiorze, że w rubryce narodowość wpisano: *Ukrainiec*, powiedział zdumionym urzędnikom, że to nie jest jego paszport. Zmieniono mu dokument. W tamtych czasach trzeba było mieć nie lada odwagę cywilną, żeby na taką demonstrację się zdecydować. Taka postawa to efekt wychowania w rodzinie, w domu polskim. W Tarnopolu spotkałem także, nieżyjącego już niestety, pana Ludwika Jenczyka. Ten pochodzący z rodziny ziemiańskiej z terenów Litwy Polak był przyjacielem naszej parafii. Był absolwentem architektury przedwojennej Politechniki Warszawskiej. Odbył dziesięć lat, przymusowe „wczasy” na Syberii. Z zesłania powrócił do Tarnopola. Jego żona była Ukrainką, szlachetną kobietą, pochodzącą z Połtawy. Udzieliłem im sakramentu małżeństwa, jak tylko pojawiłem się w Tarnopolu. Ponieważ ona była prawosławna, to przed Soborem takim małżeństwom nie można było udzielić ślubu. Jenczykowie byli jednymi z pierwszych, którzy w latach 90. przyjęli w Tarnopolu sakrament małżeństwa. Dzięki panu Ludwikowi, jego fachowości i znajomościom – przez lata był dyrektorem architektów na całe województwo tarnopolskie – udawało się nam przebijając przez biurokrację w sprawach placu pod budowę kościoła i zatwierdzenia planu. Ostatecznie wszystko się udało zrealizować mojemu następcy ks. Andrzejiowi Maligowi i to dzięki pomocy pana

Ludwika, który *de facto* jest autorem projektu nowego kościoła w Tarnopolu – choć to nie on jest podpisany pod projektem. To jego dzieło, jego myśl architektoniczna!

W każdej wspólnocie istnieje organ zarządzający... Jak wyglądała współpraca z radą parafialną?

Wiele by opowiadać, przecież tyle lat tam spędziłem, współpracując z wieloma wspólnotami w tylu miejscach. Współpraca była dobra, przecież tyle dobrego udało się nam wspólnie tam zdziałać!... Oczywiście były też kłopotliwe sytuacje, o których trudno jest mi mówić. Wiadomo przecież, że prace czy towarzystwa kultury polskiej, czy naszej wspólnoty były inwigilowane przez wiadome służby. I ten oddech tajnych służb czuliśmy ciągle na plecach. Oni nie działali bezpośrednio, ale mieli wpływ na ludzi. Próby skłócania, rozbicia jedności między kościołem a towarzystwem kultury polskiej, czy też... To bardzo trudne, co chcę powiedzieć. Byłem jednak przekonany, że pierwszy prezes towarzystwa był i ch człowiekiem, współpracownikiem. Nie wymienię więc jego nazwiska. Kiedy już mieliśmy pewność, że tak jest, udało nam się go wyeliminować przy pomocy wyborów. W parafii nie mieliśmy rady parafialnej, wciąż działały tzw. „dziesiątki”, które z przeszłości nie szczyły się chlubną tradycją. W czasach radzieckich „dziesiątki” parafialne były narzędziem w rękach władzy do podejmowania decyzji za duszpasterzy, za proboszcza. To „dziesiątki” decydowały o tym, czy msza święta się odbędzie czy nie. Czy dany ksiądz będzie mógł pracować w parafii czy nie. Chociaż w tamtych czasach ani parafii, ani księży za wielu nie było. Duchowni pracowali więc pod okiem tych „dziesiątek”. I ten system przeniósł się potem na lata dziewięćdziesiąte. Żeby zarejestrować wspólnotę, trzeba było mieć „dziesiątkę”. Nie twierdzę, że w tych „dziesiątkach” wszyscy byli skorumpowani czy związani ze służbami. Ale na pewno część z nich tak. Parafianie przychodzili do mnie w tajemnicy i informowali, że jakaś osoba jest współpracownikiem służb albo o tym, że ja i moi bliscy współpracownicy mamy zainstalowany podsłuch. Próbowano też zwerbować naszych lektorów czy młodych ministrantów. Ofiarą takiej sytuacji został mój poprzednik w Kołomyi, ks. Piotr Buk. W parafii pojawił się chłopak po wojsku. Złamali go i zmusili do współpracy. I to on próbował grubymi nićmi „szyc” szpiegowanie ks. Piotra. Zresztą

za to domniemane szpiegostwo wydalono go z Ukrainy, niczego mu jednak nie udowadniają. To jest metoda walki, jesteś za aktywny, nie podobasz się nam, to zawsze znajdziemy pretekst do pozbycia się ciebie. Kiedy przyjechałem z Tarnopola do Kołomyi, jako ten usunięty z Tarnopola, bo ośmieliłem się podać władze miasta do sądu, że nie oddali nam kościoła, że inny kościół zabrali nam na katedrę grekokatolicką, a w trzecim jest fabryka. My chcieliśmy tę rozpadającą się fabrykę, czyli dawną świątynię, przywrócić dla Kościoła. Nie mogli mi tego darować, że miałem czelność upomnieć się o swoje. W Kołomyi od razu odwiedził mnie gość ze służb i zaserwował mi taki tekst, że trzeba wszystko zgłaszać do nich, informować o każdym, kto do mnie przyjedzie, czy kto oprócz mnie będzie odprawiał mszę świętą. Przerwałem mu stanowczo, informując, że mam ważny paszport i ukraińską wizę na pracę i nie jestem pracownikiem służb, żeby na kogoś, kto legalnie przekracza granicę państwa ukraińskiego, donosić, co i gdzie będzie w Kołomyi robił, i pokazałem mu drzwi. Dodatkowo poszedłem na skargę do władz miasta, że byłem przez taką osobę nachodzony i stawiano mi warunki i żądania. Taka stanowcza reakcja chyba poskutkowała, bo przez dziewięć lat miałem spokój i nie miałem bezpośredniego spotkania z nimi. Jednak Kołomyja miała doświadczenie wyrzucenia księży posądzonych o szpiegostwo. W jakimś sensie z deszczu trafiłem pod rynnę. Mnie interesowała tylko praca duszpasterska, nigdy nie angażowałem się w jakąkolwiek działalność pozakościelną. Wiadomo jednak, że grupy szowinistów i nacjonalistów, a w Kołomyi szczególnie, atakowały kościół tylko za to, że gros wiernych stanowili Polacy. A szowinizm antypolski nie umarł, on jest silny szczególnie na terenach byłej II RP. W prawie wszystkich miastach buduje się teraz pomniki Stepanowi Banderze i czyni się go bohaterem na zachodzie państwa ukraińskiego. Najlepszy na to dowód, że w Tarnopolu, mieście, które założył hetman Jan Tarnowski, nie ma on swojej ulicy. W czasach sowieckich ulicę jego imienia przemianowano na ulicę Lenina. A potem, już w państwie ukraińskim, – jak to się mówi: *zamienił stryjek siekierkę na kijek...* – przemianowano ją na prospekt Stepana Bandery. Nasuwa się smutna refleksja: jacy bohaterowie, takie i społeczeństwo... Chociaż na razie szowinizmu nie popiera Ukraina środkowa i wschodnia, ale zachód ciągle jest chory na tę nienawiść.

Czy pamięta ksiądz swoją pierwszą mszę świętą odprawioną na tamtych terenach i jakie z tym łączyły się przeżycia?

Pierwszą mszę św. odprawiłem w drodze do Tarnopola. Po przekroczeniu granicy w Mościskach udałem się do Strzelczysk. Tam pracowali dwaj moi koledzy – wspomniany już ks. Andrzej Malig i ks. Andrzej Rams – proboszcz. Organizowali parafię we wsi Strzelczyska, która w 90% była zamieszkała przez Polaków. Była tam wtedy kapliczka zbudowana z płyt piłśniowych. Kiedyś się spaliła i została odbudowana, zanim powstał przepiękny kościół wzniesiony przez ks. Andrzeja Ramsa. Właśnie w tej skromnej, drewnianej kapliczce odprawiałem swą pierwszą mszę na Kresach. Doskonale też zapamiętałem pierwszą mszę świętą odprawioną w Tarnopolu. Ludzie byli tacy przejęci tym, że mają w końcu swojego księdza. To były mocne przeżycia, rozmowy z nimi, radość, że mszę odprawił ich własny duszpasterz. W pamięci utkwiły mi też uroczystości związane z przystępowaniem do pierwszej komunii. To było niesamowite wrażenie, bo bywało tak, że do pierwszej komunii przystępowały razem córeczka, mama i dziadkowie! A dziadkowie byli w trakcie przygotowywania się do sakramentu małżeństwa! Rocznie miałem 10–20 ślubów par z 20–30-letnim stażem pożycia. Miałem też taki przypadek, że do sakramentu małżeństwa przystąpiła para z 50-letnim stażem pożycia! Kiedyś zapytałem jedną parę, czy wcześniej nie mieli możliwości związania się ślubem przy ołtarzu, we Lwowie czy Czerniowcach. Dojrzały „pan młody” odpowiedział: – *Poszedłem do księdza, a on mnie zapytał: co ty prawosławną sobie za żonę bierzesz?* W czasach przedsoborowych taki mieszany ślub był niemożliwy. A po Soborze działalność Kościoła w ZSRS była już zupełnie sparaliżowana. Społeczeństwo zastraszone i nie każdemu starczało odwagi na chrzest dzieci, spowiedź czy ślub kościelny. Był lęk przed utratą pracy, szykanami czy nawet uwięzieniem. Kolejnym niezapomnianym doświadczeniem było przygotowywanie dorosłych, często starszych ludzi do chrztu. To mobilizowało mnie do tego, żeby ten przekaz wiary nie był taki tradycyjny. To wszystko było dla nich, ale i dla mnie zupełnie nowe. Jako dorośli mieli poznać prawdy wiary, uznać je za swoje i tę wiarę wyznać osobiście w dniu chrztu. Nie było takich przypadków za wiele, niektórzy przyjmowali chrzest z rąk biskupa. Ja też miałem uprawnienia do chrztu osób dorosłych i delegację udzielania bierzmowania.

Druza parafia, w której podjął ksiądz pracę duszpasterską, to piękna huculska Kołomyja. Jak trafił ksiądz w Kołomyi?

W związku z niemożnością prowadzenia pracy duszpasterskiej w Tarnopolu zostałem skierowany przez ks. Abpa Mariana Jaworskiego na placówkę w Kołomyi. Pracowałem tam przez 9 lat! Parafia kołomyjska zaczęła działać już w 1991 r. Wówczas kościół i parafię w Kołomyi obsługiwał ks. dziekan Kazimierz Halimurka ze Stanisławowa. W roku 1992 przybył do parafii ks. Piotr Buk, który pracował do 1995 r. Został usunięty z Ukrainy. Próbowano mu przyszyć łatkę szpiega. Służby bezpieczeństwa przez trzy miesiące stały pod plebanią, wywierając presję psychiczną na proboszcza. Były też pogroźki. Ks. arcybiskup został postawiony w trudnej sytuacji: *Jeśli na siłę będziecie chcieli go zostawić, zgodzimy się, ale nie jesteśmy w stanie zapewnić mu bezpieczeństwa*. Ks. Piotr z Kołomyi wyjechał z ks. biskupem Marcjanem. Dostał pięcioletni zakaz wjazdu na Ukrainę. Wspólnota kołomyjska bardzo przeżywała nagonkę na księdza. To była wielka trauma dla ludzi. Ks. biskup po wywiezieniu ks. Piotra skierował do pracy ks. Romana Stadnika, który potem był moim wikarym. Mianowanie na proboszcza w Kołomyi miał już obecny proboszcz w Tarnopolu, ks. Malig. Ponieważ mnie wyrzucono z Tarnopola, dostałem skierowanie do Kołomyi, a jego wysłano na moje miejsce. W Kołomyi zastałem już dobrze zorganizowaną parafię, posiadającą kościół blisko centrum miasta. Świątynia mieszcząca się w centrum miasta, w samym rynku, została zamieniona na cerkiew grekokatolicką. Za czasów sowieckich była przebudowana, dodano piętro, a wewnątrz był sklep z zabawkami dla dzieci. Nasz pojezuicki kościół przetrwał w miarę dobrym stanie. Za sowietów był tam magazyn mebli. Od frontu dobudowali do świątyni salon sprzedaży mebli. W 1991 r., mimo że kościół był oddany wiernym, nadal przywozili meble. Ludzie protestowali. Nasza parafianka, pani Malwina, w drzwiach rzuciła im się pod nogi krzyżąc: *Po moim trupie! Jeżeli chcecie tu wnosić meble, to po moim trupie!* I poskutkowało, wycofali się i nie próbowali więcej. Po odzyskaniu świątyni, jeszcze w takim magazynowym otoczeniu, odprawiane były msze święte. Kiedy przybyłem do Kołomyi, przed kościołem był jeszcze sklep meblowy oraz toaleta dla personelu. Koniec końców udało się ten sklep wyeksmitować. Ale nie za darmo. Obiecaliśmy im wyremontować dach

na takim potężnym *uniwiermagu*. Kosztowało to kilkanaście tysięcy dolarów. Uzyskaliśmy też pozwolenie na rozebranie tej sklepowej przybudówki do kościoła. Oczywiście to wszystko osiągnęliśmy po wielkich bojach i trudach. Do naszych starań włączył się ambasador Bahr z Kijowa, obecny ambasador w Moskwie. To był człowiek zakochany w Kołomyi, bardzo cenił sztukę huculską, której centrum znajduje się przecież właśnie tu. To był rok 1997, kiedy przygotowywał spotkanie na szczycie między prezydentem Polski i Ukrainy w Kołomyi i wtedy nasza sprawa stała się na najwyższym szczeblu rozmów międzypaństwowych. Po tym spotkaniu Stanisławów dostał polecenie, by sprawę załatwić po naszej myśli. Zabrali sklep meblowy i całość oddali nam. I na tym się skończył protekcyjizm. Oni się rozjechali, a my zostaliśmy sami z naszymi problemami. Tyle że miejscowym Polakom pozostała wspomnienia i fotografie, jak witali kwiatami czy to prezydenta RP, czy to premiera. Kołomyja przyciąga swym niepowtarzalnym Muzeum Pisanki... Wracając do naszego sklepu meblowego... Jeszcze w czasie rozbiórki dostaliśmy karę, ponieważ nie przedstawiliśmy władzom miejskim projektu, jak budynek kościoła będzie wyglądał po rozbiórce. Pozostawiliśmy jedno pomieszczenie, które pełni rolę sali widowiskowej. Dla potrzeb parafii w 1997 r. kupiłem dom przy ul. Chopina na plebanię. Na górze przez jakiś czas mieszkały siostry, ale też już przeniosły się do swojej siedziby, do zakupionego domu przy ul. Kraszewskiego. Prowadzą tam przedszkole. Stara plebania znajdowała się obok kościoła. Za sowietów umieszczono tam szpital chorób wenerycznych. Do dzisiaj tego budynku nam nie oddano. Po przybyciu do Kołomyi przez rok mieszkałem w zakrystii, którą przysposobił na mieszkanie ks. Piotr Buk.

Jak wyglądała praca z Polakami w Kołomyi?

Gdy porównuję Kołomyję i Tarnopol w kontekście polskości, to Kołomyja jest znacznie mocniejszym ośrodkiem. Tarnopol przed wojną był zdecydowanie mniejszy. Kołomyja, chociaż nie była województwem, była dwukrotnie większym miastem pod względem liczby mieszkańców – mieszkało tam 46 tys. ludzi. Po wojnie miasto nie rozbudowało się za wiele. Pozostało w dawnych granicach administracyjnych. Pozostało też trochę Polaków. Kołomyja od początku lat 90. była większą parafią niż tarnopolska. Środowisko polskie było dość

aktywne. Kiedy się tam pojawiłem, działał już chór „Lumen”, skupiający Polaków, pasjonatów polskiej pieśni, pasjonatów śpiewu. Uczestniczyli kilkakrotnie w festiwalu chórów polonijnych w Koszalinie. Istniało też towarzystwo polskie – potem nawet dwa, bo pojawiły się jakieś animozje. Udało się też zdobyć miejsce na szkołę polską – mieliśmy trzy sale, w tym dwie bardzo duże. Wcześniej, kiedy nie było jeszcze szkoły, języka polskiego uczyliśmy u sióstr, tam gdzie odbywała się katechizacja. Polska sobotnia szkoła w Kołomyi zrzeszała ponad sto dzieci! A parafia w Kołomyi liczyła ponad 500 osób!

Miejscowe władze nie przeszkadzały?

Wyłączając tajne służby, które nieustannie nas pilnowały, nie mogę narzekać. Ukraińcy byli pozytywnie do nas nastawieni. Nasza parafia rzymskokatolicka uchodziła za wspólnotę dojrzałą i wymagającą. Wierni kościoła grekokatolickiego dostrzegali to, ponieważ zdarzały się takie sytuacje, że zapisywano do nas dzieci na katechezę, które wcześniej w cerkwi dopuszczone zostały bez przygotowania do pierwszej komunii świętej. Świadomi religijnie rodzice chcieli, by ich dzieci przeszły to przygotowanie. Grekokatolicy organizowali dwa–trzy spotkania i udzielali dzieciom w pierwszej klasie sakramentu pierwszej komunii. One nie miały pojęcia o co w tym wszystkim chodzi. Dlatego niektórzy zapisywali dzieci już w drugiej czy trzeciej klasie do nas, żeby przeszły kurs przygotowania i przynajmniej żeby umiały adorować Pana Jezusa, którego przyjmują w Komunii Świętej. Tak więc parafia miała pod tym względem dobrą opinię. Wiele osób z cerkwi korzystało też u nas z sakramentu pojednania. Zawsze, jak siadło się do konfesjonau, byli ludzie do spowiedzi.

Jakie wspólnoty w okolicach Kołomyi prowadził ksiądz?

Dojeżdżałem do Obertyna, gdzie msze święte odprawiało się w domu pani Gieni. Z czasem powstała idea budowy kościoła. Zaczęliśmy gromadzić cegłę, dostaliśmy też plac pod budowę świątyni. W pewnym momencie okazało się, że w centrum Obertyna znajduje się budynek nieużywanego kinoteatru, który chcieli wykupić adwentyści. A że głowa *sielskiej rady* był nam życzliwy, przyszedł do naszej parafianki, pani Adeli, która była inspiratorką wszelkich poczynań naszej wspólnoty i stała na czele „dziesiątki”, i powiedział: – *Słuchajcie my nie chcemy mieć tutaj jakiejś sekty w centrum*

*Obertyna. Bierzcie ten kinoteatr! Bierzcie – to znaczy kupcie. Oczywiście my podchwyciliśmy tę ideę, tym bardziej że ten kinoteatr został zbudowany w miejscu budynku Sokolstwa polskiego, w samym centrum Obertyna. Pięćdziesiąt metrów od kościoła, który zniszczono dopiero w latach 80.! W miejscu świątyni wybudowano blok mieszkalny. Przystałem na tę zasugerowaną propozycję, bowiem wiadomo, z czym się wiąże budowa kościoła we wspólnocie liczącej ok. 50 osób. Choć i ta wspólnota z czasem się rozrastała. W Obertynie Polacy i Ukraińcy żyli w dobrych relacjach. Świadczy o tym fakt, że kiedy zburzono kościół rzymskokatolicki, to figurę Matki Bożej przeniesiono do cerkwi prawosławnej, gdzie przeczekala najgorsze lata. Po zmianach na Ukrainie wierni wraz z duchownym przeszli na grekokatolicyzm. Ojciec Dymitr, bardzo szlachetny człowiek, który był prawosławnym kapłanem, korzenie miał jednak grekokatolickie. Gdy powstało państwo ukraińskie, zrobili w parafii referendum: kto jest za cerkwią grekokatolicką, kto za prawosławną. Za cerkwią prawosławną opowiedziały się tylko dwie osoby. Większość zdecydowała, że mają się trzymać obrządku grekokatolickiego i wspominać w modlitwie papieża. Ojciec Dymitr był bardzo pozytywnie nastawiony do mnie. To się komuś nie podobało i w końcu został zmieniony. W jego miejsce przyszedł ojciec Jarosław, typowy szowinista, który próbował nastawić ludzi przeciwko nam, wyznawcom kościoła rzymskokatolickiego, czyli właściwie przeciw Polakom. Ale co ciekawe, sami Ukraińcy powiedzieli mu: – *A co ojciec chce od tego księdza? My tu zawsze dobrze żyliśmy. My tu nie chcemy żadnej wojny!* I skończyło się. Ale to nie były już te same kontakty co za czasów o. Dymitra. Ten nowy ksiądz raz przyszedł na naszą uroczystość, innym razem zignorował... Czasami z ambony powiedział coś nieprzyjemnego przeciwko Polakom, tak jakby oni nie mieli w Obertynie swojego miejsca. Ale co jest ciekawe, w czasie wojny, gdy banderowcy chcieli mordować Polaków w Obertynie, to Ukraińcy, z wójtem na czele, nie zgodzili się na to. Akcje były tak przygotowywane, że przychodziły do wsi oddziały i wciągały zawsze miejscową ludność. Miejscowi przygotowywali listy, mieli wskazywać, które domy są polskie. Wójt obertyński miał powiedzieć do rady złożonej z Ukraińców: – *To do kogo pójdziemy? Do ciebie, bo twoja żona Polka? A może do ciebie? Co, będziecie się sami mordować?* I Obertyn przetrwał,*

a wójta nie zabili. Miejscowe władze zgodziły się też, bym postawił krzyż na miejscu dawnego pomnika, gdzie pochowani są żołnierze Tarnowskiego polegli w bitwie pod Obertynem. W późniejszym czasie pozwolili odnowić ten pomnik w całości. Dwa lata temu – w 2011 r. – Tarnów wmurował na tym krzyżu przepiękną tablicę ku czci Tarnowskiego. Była piękna wspólna uroczystość, msza św., poświęcenie tablicy! Polacy zaprezentowali swój program, Ukraińcy też się ładnie pokazali. Wracając do naszego nowego kościoła w Obertynie... Kiedy już Ukraińcy zaproponowali nam ten kinoteatr, nie zastanawiałem się ani chwili, poszedłem do arcybiskupa, znaleźliśmy pieniądze i za 19 500 dolarów budynek został przez nas zakupiony. Sala ponad 300 m² z dachem, który ks. Artur Zaucha – mój kołomyjski wikary, który w późniejszym czasie został proboszczem w Obertynie – odbudował. Jednak pierwszym proboszczem w Obertynie był ks. Stanisław Majchrzak, który objął też duszpasterską opieką Tłumacz. Parafia kołomyjska opiekowała się też wspólnotą w miejscowości Ceniawa w pow. kołomyjskim. Od Stanisławowa przejęliśmy parafię w Ottyni, w której urodził się Franciszek Karpiński. Jego rodzinny Hołsków należał do parafii ottynińskiej. W kościele znajduje się tablica poświęcona pamięci tego wybitnego polskiego poety i dramaturga. Parafia w Ottyni zorganizowana została przez ks. Halimurkę, a w 1993 r. przekazana pod opiekę parafii w Kołomyi i tak jest do dzisiaj. Są to osobne, niezależne parafie, tyle że mają na razie wspólnego duszpasterza. Wspólnoty w tych miejscowościach są niewielkie. W Ceniawie wspólnota liczy ok. 100 osób. Kiedy byłem w Kołomyi, dyrektor szkoły w Ceniawie zgodził się, bym uczył katechezy w szkole.

Jakie były relacje z kościołem grekokatolickim?

Myślę, że podobnie się to układało na całej Ukrainie Zachodniej, w dawnej Galicji. Część duchowieństwa była zarażona szowinizmem, czyli miała nastawienie antypolskie, ale była też część duchownych, którzy utrzymywali z nami dobre kontakty. I właściwie to oni stanowili w tych trudnych momentach dla nas taki bezpiecznik, bo dawali świadectwo, że księża rzymskokatolicki są normalnymi duchownymi, nie są ukraińszercami – jak często nas przedstawiano, że jesteśmy normalnymi ludźmi, też katolikami. Trzeba zaznaczyć, że proprawosławne prądy w cerkwi grekokatolickiej były

dosyć mocne. Tym bardziej że znaczna część duchowieństwa grekokatolickiego wywodziła się z cerkwi prawosławnej, ponieważ do stanu duchownego przygotowywali się w prawosławnych seminariach. Mentalnościowo więc dość mocno tkwili w prawosławiu. Objawem tego był choćby fakt, że samozwańczo swego metropolitę mianowali patriarchą, który przecież patriarchą nie jest, i w kanonie wymieniają go jako patriarchę. Czyli posłuszeństwo wobec Kościoła i papieża, uznawanie jego zwierzchności jest takie nie wiadomo jakie. Często się mówiło, że grekokatolicy związani są z Kościołem zachodnim tylko dlatego, że Kościół im po prostu pomaga, wspiera ich nie tylko duchowo, ale i materialnie.

Obchody 70-lecia ludobójstwa na Polakach na Wołyniu zdominowały w tym roku tematykę kresową. Czy w czasie pracy księdza w Tarnopolu lub Kołomyi problemy mordów UPA na Polakach się pojawiały?

Tak. Spotykałem przede wszystkim świadków, którzy to przeżyli. Ukraińcy do zbrodni się nie przyznawali. Bali się swoich. Polacy też milczeli pełni obaw. Ten strach mieli zakodowany w sobie. Zdarzali się jednak odważniejsi, którzy ze łzami w oczach opowiadali o dramatycznych przeżyciach. Czasami nawet Ukraińcy otwierali się przede mną. Oni też w jakimś sensie byli ofiarami tego dramatu. Nie wszyscy przecież należeli do zbrodniczego ruchu OUN–UPA. Żyli z Polakami w zgodzie, a tu nagle ich pobratymcy palili także ich wieś... Niektórzy Ukraińcy też ginęli z rąk swych rodaków. Wielu było też takich, którzy udzielali Polakom azylu. Wspominani pp. Dorożyńscy opowiadali, że większość nocy w 1944 r. spędzili w kopcach siana albo u Ukraińców – w domach czy stodołach. Tam byli bezpieczniejsi niż we własnym domu, gdzie najpewniej zostaliby spaleni i zamordowani. To są też bohaterowie, których trzeba uznać. Na tablicach poświęconych zamordowanym wioskom spotykamy też nazwiska ukraińskie, często z dopiskami: *Ukrainiec* lub *ukrywał Polaków*. Ale diabeł nie śpi... Z końcem czerwca 2013 r. byłem w Płotyczy. Tam jest pomnik poświęcony zamordowanym Polakom. Na tablicy napis w języku ukraińskim: *Tragiczno ubyti*, czyli zamordowani, celowo zatarty kamieniem, zniszczony. Na Ukrainie wciąż są mocne grupy ludzi, które nie mogą się pogodzić z prawdą. Przecież Polacy nie umarli śmiercią naturalną, tylko zostali bestialsko zamordowani przez konkretnych ludzi,

z których robi się dzisiaj bohaterów narodowych Ukrainy. Cieszy jednak, że jest coraz więcej miejsc upamiętniających ludobójstwo Polaków na Kresach. Jeżeli my, jako społeczeństwo, jako Polacy, nie zrobimy tego, to będziemy za to siedzieć w czyścicu i to bardzo długo! Przecież te dziesiątki tysięcy ludzi naprawdę niewinnie zginęło. Sądzę, że w Polsce, jeśli są miejsca, gdzie niewinnie zginęli Ukraińcy, to już dawno je upamiętniono. A taka pamięć należy się też zamęczonym Polakom tam, gdzie zostali w bestialski sposób zakatowani. I to jest już ostatni dzwonek, by to zrobić! Teraz mija 70. rocznica ludobójstwa na Wołyniu, a w przyszłym roku – podobna rocznica rzezi na Podolu. Takich miejsc do upamiętnienia jest tam wciąż dużo, choć – Bogu dzięki – wiele już zostało upamiętnionych.

Czy w czasie duszpasterskiej posługi księdza w Tarnopolu i Kołomyi udało się upamiętnić choć jedno miejsce kaźni Polaków?

Wtedy nie. Za wcześniej. Poza tym kapłan z Polski nie mógł raczej wychodzić z taką inicjatywą. Oczywiście dalibyśmy wsparcie, uczestniczylibyśmy w poświęceniu takiego pomnika. Inicjatywa jednak musiałaby wyjść spośród wiernych, mieszkańców wioski lub dawnych jej mieszkańców, którym udało się przeżyć okrutną zbrodnię. W początkowych latach 90. jeszcze za wcześniej było na podejmowanie takich inicjatyw na Ukrainie. Sprawy upamiętnienia miejsc zbrodni były i są trudne. Szowinizm na Ukrainie nadal jest bardzo silny. Już codzienna działalność parafii wiązała się z otwartymi atakami w prasie kołomyjskiej na Kościół i kapłanów. Odbywało się to szczególnie w piśmie „Wisnyk”, z którym związane były grupy szowinistów. Zarzucali nam, że polonizujemy ukraińskie dzieci. A z Polski docierały do nas głosy z zarzutami, że księża ukrainizują Polaków... W Kołomyi odprawialiśmy jedną mszę świętą po polsku i drugą po ukraińsku z elementami rosyjskimi i niemieckimi. Wszystkich wiernych chcieliśmy uszanować. W Kołomyi byli tacy, którzy z pretensjami mówili, że powinniśmy Słowo Boże głosić tylko po polsku. Byli też i tacy, którzy pytali, dlaczego nie po ukraińsku, skoro tu jest Ukraina? Takie stanowisko miały głównie osoby związane ze służbami. Z kolei prawosławna cerkiew ukraińska miała pretensje, że mają nabożeństwa odprawiać po ukraińsku, a nie w języku starosłowiańskim, skoro język ukraiński używany jest w cerkwi grekokatolickiej?! I jak tu zna-

leźć złoty środek? Natomiast udzielałem się w upamiętnianiu miejsc historycznych. Choćby wspominany już Obertyn. Ale i miejsca związane ze Stanisławem Vincenzem. Postawiliśmy pomnik i tablicę w miejscu, gdzie stał jego dom. Będąc w Kołomyi, trudno było nie trafić na jego ślad. Choć muszę się przyznać, że dopiero tam się dowiedziałem, kim on był. Przecież w mojej szkole o Vincenzie nawet się nie zająknęli! Kiedyś trafił do mnie turysta z RP i zapytał mnie, gdzie jest Słoboda Rungurska, bo chciał odwiedzić miejscowość, w której urodził się Vincenz. Pojechaliśmy tam razem. Za czasów sowieckich mieścił się tam *pionierskiej łagier* pilnowany wtedy przez stróża. Gdy zapytaliśmy o Vincenzów, odpowiedział: – *Owszem, jest tu takie miejsce, gdzie stał dom Vincenzów. W trawie odkryliśmy jeszcze zarysy fundamentów. Spotkaliśmy też staruszkę, która doskonale pamiętała Vincenzów. Odnaleźliśmy też ruiny kościoła, który wybudowali mieszkający tam inżynierowie polscy. Po wojnie ocalały chyba tylko trzy domy. Cała reszta została spalona i zniszczona. Ale właśnie tam w roku 1888 urodził się Stanisław Vincenz, jako syn nafciarza – Feliksa Vincenza, który razem ze Stanisławem Szczepanowskim, czyli pionierem przemysłu naftowego na tych terenach, rozpoczęli budowę szybów naftowych. Szczepanowski przeniósł się do Borysławia, a Feliks Vincenz pozostał w Słobodzie Rungurskiej i jest nawet pochowany na tamtejszym cmentarzu, którego zarośnięty fragment gdzieś między drzewami odnaleźliśmy. Zachowało się zaledwie dziesięć nagrobków. Na żadnym nie natrafiliśmy na jego nazwisko. Matka Vincenza pochodziła z Krzyworówni, z rodziny ziemiańskiej. Jej rodzice pochowani są przy cerkwi. W Krzyworówni nie było kościoła rzymskokatolickiego, a oni byli dobrodziejami tej cerkwi. Pop pokazywał nam ich podobno grób, choć nie było na nim żadnej inskrypcji. Tam jest też pochowany wuj Vincenza, który przyjaźnił się z ukraińskim poetą Iwanem Franko. Ten ostatni odwiedzał go w Krzyworówni. Natomiast Stanisław Vincenz w Słobodzie Rungurskiej wybudował pomnik na cześć Iwana Franki ze znanym już powszechnie napisem: *Wierzę w siłę ducha i dzień twojego zmartwychwstania*. To też świadczyło o bardzo dobrych odniesieniach pomiędzy Polakami a Rusinami na tamtych terenach. Vincenz był człowiekiem światowym, bardzo dobrze wykształconym, o szerokich horyzontach. Poznał tyle barw kultury, nie tylko huculskiej, ale i europejskiej, co się*

odbija w jego twórczości. Kulturze huculskiej poświęcona jest epopeja *Na wysokiej połoninie*, przeciekawe w jego dziełach są tematy żydowskie, wśród Żydów miał wielu przyjaciół. Natomiast podręcznikiem otwartego myślenia i zdrowej tolerancji są *Rozmowy z Sowietami*. W dawnym Gimnazjum im. Kazimierza Jagiełłończyka, w budynku, który do dzisiaj pełni rolę szkoły, umieściliśmy tablicę informującą, że do tego gimnazjum uczęszczał Stanisław Vincenz. Wspólnie z Towarzystwem Kultury Polskiej ze Stanisławowa, w Hołoskowie, w miejscu, w którym stał dom rodzinny Franciszka Karpińskiego, postawiliśmy pomnik. Poświęciłem ten pomnik razem z popem prawosławnym i księdzem grekokatolickim.

Dlaczego ksiądz odszedł z Kołomyi?

Na pierwszym kazaniu w Kołomyi publicznie powiedziałem, że *wszyscy żałujemy księdza Piotra, przeżywając jego przymusowe odejście, i wszyscy jesteście przekonani, że on nie był żadnym szpiegiem, że został stąd niesłusznie wyrzucony i proszę się nie zdziwić, jeśli po kilku latach usłyszycie na mój temat coś podobnego*. Zagrałem *va banque* i jeszcze poszedłem się poskarżyć miejscowym władzom, że – jak opowiadałem wcześniej – byłem natchodzony przez tajne służby. Miałem spokój, choć byłem świadomy, że cały czas jestem inwigilowany, że mam telefony na podsłuchu. Nie przejmowałem się tym, bo nie prowadziłem żadnej działalności antyukraińskiej. Ale ja poddaję się woli Bożej, byłem potrzebny Hucułom, potem potrzebowali mnie górale w Pieninach, w Grywałdzie. Teraz jestem w Tuchowie – w tym jest palec Boży... Wracając do pana pytania... Nie wiem. Po prostu nie dostałem przedłużenia pozwolenia na pracę. Musiałem opuścić Ukrainę. Ksiądz biskup otrzymał od władz ukraińskich informację, że *temu księdzu nie przedłużymy już pobytu...* Z jakiego powodu, nie wiadomo. Nie będę ukrywał, że mogło to być związane z działaniem tamtejszego Towarzystwa Kultury Polskiej w Kołomyi. Była tam pewna grupa ludzi, przypuszczalnie inspirowana przez ukraińskie służby, która chciała zarzucić mi ukrainizację Polaków. Tak naprawdę – o ironio – to ja robiłem dla polskość dwa razy więcej, niż powinienem, i to zawsze we współpracy z Towarzystwem. Ich denerwowało, że jest msza święta po ukraińsku, że parafia się rozwija, że są Ukraińcy uważający się za rzymskich katolików. Ale przecież ten rozwój był też dla polskość ko-

rzystny! Wielu, którzy mieli korzenie polskie, nawet dalekie, poprzez kontakt z parafią do tej polskość mogli wracać. Kiedyś uczestniczyłem w dyskusji w Telewizji Polonia, gdzie zostałem zaatakowany przez sławnego ks. Dzwonkowskiego o to, że duchowieństwo na wschodzie ukrainizuje Polaków. A przecież tak naprawdę Kościołowi trzeba dziękować, że te resztki polskość uratował, podtrzymał, a to, że jest dwujęzyczna liturgia, to tylko uszlachetnia, pokazuje kulturę i otwarcie ze strony nas, Polaków. A my, księża, jesteście przede wszystkim duszpasterzami, a to, że jesteście dodatkowo Polakami, to chwala Bogu, bo nadal jesteście strażnikami polskość na Kresach! Oczywiście, wśród współczesnych księży może się trafić taki przypadek wychowania apatriotycznego, czyli na zasadzie – nie wiadomo kto ja jestem. Komuna i III RP przysłużyły się takiemu wychowaniu znacznie. Taką atmosferę w Polsce się wyczuwa. Przyznawać się dzisiaj do polskość, do patriotyzmu – to trochę wstyd, obciach... Ale mnie tego nikt nie może zarzucić. Skargi Towarzystwa podobno szły na mnie też do Warszawy. Parafianie mnie bronili. Pisali w mojej obronie listy do księdza biskupa. Mnie się wydawało, że mam za sobą bardzo wielu ludzi i to wpływowych. Także spośród Ukraińców. Być może to też się nie podobało tajnym służbom. Oczywiście to są tylko moje domniemania...

Dziękując Księdzu za rozmowę, pozwolę sobie na podzielenie się refleksją na temat kondycji polskość w parafiach rzymskokatolickich na terenie państwa ukraińskiego... Rzeczywiście dochodziły do nas, także do naszej redakcji, informacje na temat wycofywania języka polskiego z liturgii i katechizacji oraz wycofywania się parafii z prowadzenia nauki języka polskiego. Polacy stamtąd prosili o interwencje i wsparcie. Nie napawało to ani radością, ani optymizmem – szczególnie środowisk kresowych. Nie do końca też zgodziłbym się z tezą, że to Polacy zawdzięczają Kościołowi zachowanie polskość w dżungli komuny... Myślę, że również Kościół – a może nawet przede wszystkim Kościół – winien być wdzięczny Polakom za to, że przetrwali w języku polskim, tradycjach i obyczajach polskich i wierze. Czy wspaniali kapłani, „Boży szaleńcy” – jak ks. Bukowiński, o. Serafin Kaszuba, ks. bp Cieński czy ks. bp Kiernicki, mieliby dla kogo pracować, gdyby tam zamilkła mowa i kultura polska? Czy Kościół rzymskokatolicki miałby wtedy szanse przetrwania na Kresach?

Piotr Stefaniak

DZIEJE NAJSTARSZEGO WE LWOWIE KLASZTORU ŻEŃSKIEGO, TERCJAREK DOMINIKAŃSKICH (1293–1740) (2)

TERCJARKI DOMINIKAŃSKIE WE LWOWIE (cd.)

Tak to przetrwały siostry z klasztoru św. Dominika we Lwowie przez cały okres średniowiecza. Skończyło się ono mocnym akcentem w postaci pożaru z czerwca 1527 r., który dokonał olbrzymiego zniszczenia, obracając w zgłiszcze prawie całe miasto. Wraz z renesansem wkroczyli do Lwowa protestanci, znajdując w wielokulturowym i wielowyznaniowym środowisku dogodne warunki egzystencji. Religijne nowinki, a także osłabienie Kościoła katolickiego spowodowały upadek życia zakonnego. Ogólny kryzys dotknąć mógł także dominikanki we Lwowie. Upadek życia zakonnego trwał aż do końca XVI wieku.

Na fali reformy katolickiej, której kierunki wytyczyły ustawy soborowe, zakon św. Dominika rozpoczął odnowę wszystkich swoich gałęzi. W 1605 r. na kapitule generalnej w Valladolid w Hiszpanii poczyniono ważne kroki przygotowawcze. Prowincja polska rozpoczęła się odradzać po wizytacji przeprowadzonej w 1594 r. przez generała zakonu Hipolita Beccarię. Owoce wydała także wizytacja kanoniczna z lat 1617–1619, którą odbył wizytator generalny hrabia Damian Fonseca. Reforma objęła i stuosobowy konwent Bożego Ciała we Lwowie. Równocześnie z reorganizacją gałęzi męskiej zakon przystąpił do odnowy klasztorów żeńskich należących do mniszek i tercjarek. Tymi ostatnimi zajęto się podczas kapituły polskiej prowincji zakonu w Lublinie w 1594 r. Dostrzeżono konieczność uregulowania sposobu życia tercjarek z wymaganiami nowego prawa kościelnego. Otóż bullą dominikańskiego

przecież papieża, Piusa V *Circa pastoralis* z 1566 r. rozciągnięto nakaz klauzury na luźne dotąd wspólnoty tercjarek. Wówczas i dominikanki III zakonu wprowadzić musiały ścisłą klauzurę, obawiając się, że w razie niesubordynacji narażą się na restrykcje. W tej sytuacji w 1609 r. postanowiono na kapitule prowincjalnej w Przemysłu, że siostry pod pewnymi warunkami nadal mogą przyjmować nowicjuszek. W następnym roku poproszono generała o uchylenie w stosunku do tercjarek obowiązku ścisłej klauzury z powodu ubóstwa sióstr, równocześnie wnosząc o pozwolenie na składanie przez nie ślubów według dawnej formuły. Zaczęto się w tych latach poważnie zastanawiać, jak połączyć literę nowego prawa zakonnego z tożsamością sióstr trzeciego zakonu. Jak je zreformować, aby nie zrobić z nich mniszek. Aby odnowionym wspólnotom zapewnić warunki prawne do zachowywania przepisów wynikających z ich nowego konwentualnego i klauzurowego stylu życia, należało im przedłożyć konstytucje. Wydano je drukiem w 1616 r. w Krakowie.

Zostały zatem tercjarki lwowskie, jak i ich siostry w wielu innych domach formalnie zamknięte w klauzurze i „przerobione” na zakonnice. Jednak mimo to różniły się one

Kościół oo. Dominikanów
we Lwowie na dawnej rycinie



od dominikanek-mniszek. Szczegóły były zasadniczo trzy: nie odmawiały wielkich godzin kanonicznych, które zastępowały *recytacją Ojciec nasz i Zdrowaś*, następnie miały dużo łagodniejsze od mniszek posty oraz wygodniejszą odzież z płócienną bielizną – mniszki musiały poprzestać na wełnianej.

Przed soborem tercjarki lwowskie, jak i inne, nie były zobowiązane do klauzury. W ich domach przebywały wychowanki i *priziwałki* (rezydentki). Teraz zaś, gdy narzucono im klauzurę, musiały mocno przebudować swą codzienność. Przede wszystkim zrezygnować z wszystkich dzieł prowadzonych na zewnątrz i poprzestać na tych pracach i zajęciach, które mogły wykonywać wewnątrz swego domu. Pozostała więc tercjarkom praca ręczna oraz wychowywanie dziewcząt, które miały mieszkać w tej części domu, która nie była objęta klauzurą sióstr. Odtąd źródłem utrzymania dla lwowskich tercjarek dominikańskich były dochody płynące z pracy ręcznej, wychowawczej oraz z czynszu z kamienicy *Rabiczkowskiej*. Niebagatelny dodatek stanowiły jeszcze posagi.

Gdy chodzi o opuszczanie przez tercjarki ich domu, to dozwolone były jedynie przypadki udawania się na nabożeństwa do pobliskiego kościoła dominikanów. Musiały tak uczynić, bo sióstr lwowskich nie było stać, aby wnieść sobie osobny kościółek do czynności liturgicznych. Zresztą tam, gdzie mieszkaly, było technicznie niemożliwe, aby go pobudować.

Jak wiadomo w 1612 roku doszło, po wielu bólach i staraniach, do wyodrębnienia się z polskiej prowincji dominikanów prowincji ruskiej zakonu. Nowy prowincjał, Antonin z Przemyśla, zaczął rezydować w klasztorze Bożego Ciała. Zatem do tejże prowincji został wcielony dom tercjarek dominikańskich. W 1615 r. posiadał on *bardzo szczupły majątek* z kamienicą *Rabiczkowską* we Lwowie. Niskie uposażenie nie przeszkodziło jednak w przeprowadzeniu wymuszonych reform inwestycji. Ówczesny arcybiskup lwowski Jan Andrzej Próchnicki odnotował w roku 1619, iż *nowy jest teżże świętej [Katarzyny z Sieny] klasztor tercjarek pod władzą tychże [od Bożego Ciała] dominikanów*. Klasztor, który od czasów średniowiecza posiadał wewnętrzną kaplicę św. Dominika, został zatem pobudowany na nowo, by być przystosowanym do klauzury. Wstawiono więc

przy furcie obrotowe koło i w rozmównicy kraty, a także ustanowiono miejsca regularne, jak refektarz i kapitularz, oraz dormitarz z rzędem cel. Osobno pewnie został zlokalizowany nowicjat.

Prawdopodobnie pośród lwowskich tercjarek odnowa zakorzeniła się w dość szybkim czasie. Wszak już w 1619 r. uchodził za zreformowany. Doszło wówczas do podziału wspólnoty. Część zdecydowała się na fundację klauzurowego konwentu dominikanek. Inicjatywa powołania we Lwowie klasztoru mniszek jednak w dalszym ciągu pochodziła od dominikanów z konwentu Bożego Ciała. W 1619 r. na placu – dziś już nie do zidentyfikowania – ruszyła budowa klasztoru mniszek. Prace musiały postępować szybko, gdyż jeszcze tego samego 1619 r. arcybiskup lwowski Jan Andrzej Próchnicki stwierdził, że *nowy jest klasztor św. Katarzyny Sieneńskiej, podległy trosce i władzy dominikanów*.

Wydaje się pewne, że te siostry, które pozostały w dotychczasowym klasztorze, w pierwszych dziesiątkach lat XVII wieku wprowadziły coroczne rekolekcje. Odprawiały je głównie w adwencie i Wielkim Poście. Znały także czterodniowe skupienia przed Wielki Tygodniem, w oktawie Bożego Ciała, przed uroczystością św. Dominika, wówczas przypadającą 4 sierpnia. Przed obłóczynami i profesją wprowadzono ponadto dziesięciodniowe rekolekcje. Pilnowano także spraw dyscyplinarnych: siostry co tydzień zbierały się na kapitułę win, której przewodniczyła przeorysza.

Wydawać by się mogło, że przed zreformowaną wspólnotą otworzy się świetlana przyszłość. Niestety tak się nie stało: przez wiele lat klasztor cierpiał na brak powołań. Ostatecznie klasztor przestał istnieć w wyniku śmierci w 1740 roku dwóch ostatnich sióstr.

ZAKOŃCZENIE

Wspólnota lwowskich tercjarek dominikańskich reprezentowała poprzez swe dzieje ewolucję wizji, jaką w Kościele miały odegrać siostry III zakonu. W średniowieczu wskazywała na to, że założone w połowie XIII w. na pograniczu łacińskiego Zachodu i rusko-prawosławnego Wschodu miasto szybko zaczęło funkcjonować według zachodnich wzorców społecznych. Także we Lwowie zaczęły się w środowisku mieszczańskim

znajdować kobiety, które nie chcąc zależeć prawnie od mężczyzn, wybierały drogę służenia jedynie Bogu i organizowania się w stowarzyszenia tercjarskie. Dominikanki były tą instytucją, która jako pierwsza w mieście konkretnie odpowiadała na duchowe aspiracje miejscowych mieszczek, w równej mierze patrycjuszek, jak i kupców. Siostry wzorem swych odpowiedniczek w innych wielkich miastach pełniły we Lwowie ważne funkcje społeczne. Nie zapominajmy, że to one odwiedzały więźniów, leczyły chorych, dawały azyl starcom i wreszcie dawały wykształcenie dzieciom.

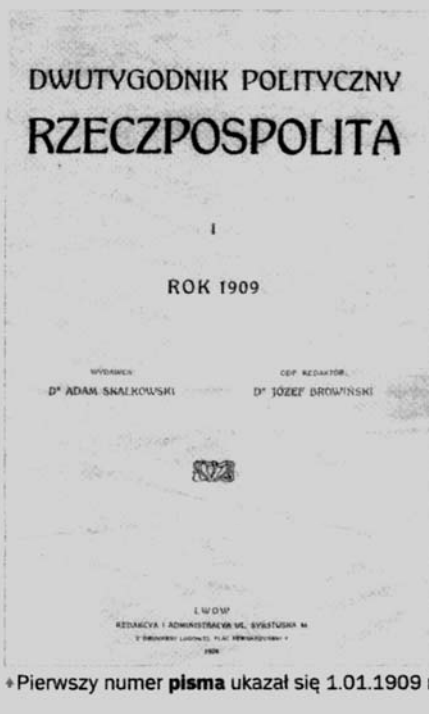
W okresie odnowy potrydenckiej ich sposób życia został zaś diametralnie przebudowany: zdecydowano się z siostr tercjarek uczynić zakonnice klauzurowe. Proces ten we Lwowie, jak się wydaje, został zrealizowany w takim stopniu, na ile pozwalały na to

miejscowe warunki. Tercjarki podjęły życie w klauzurze i ograniczyły łączność ze społeczeństwem do wychowywania dziewcząt oraz do sprzedaży wyrobów powstałych z ich pracy, głównie szycia. Jako zreformowane tercjarki dominikanki we Lwowie przetrwały od 1619 do 1740 r., kiedy dwie ostatnie zakonnice zmarły, zamykając dzieje swego konwentu.

Był on reprezentantem tego ważnego w dziejach polskiego żeńskiego życia duchowego nurtu, który pozwalał na składanie do niego akcesu tym kobietom, które z powodu niezbyt wysokiego urodzenia i wielkiego posiadanego majątku nie miały szansy podjęcia życia zakonnego w formalnym klasztorze klauzurowym. Obecność w mieście tercjarek była jakby paskiem lakmusowym duchowych i społecznych potrzeb środowiska mieszczańskiego.

Gazeta RZECZPOSPOLITA pochodzi ze Lwowa

Dobrze znana dziś w całym kraju i chętnie czytana gazeta „Rzeczpospolita” powstała przed 115 laty we Lwowie – w Nowy Rok 1909. Przypomniała o tym w numerze 303/2012 „Rzeczpospolita”, wydawana obecnie w Warszawie. Załączamy wycinek wraz z krótką historią z tego numeru.



1909 Pierwsza „Rzeczpospolita”

Diennikarza dr. Józefa Browińskiego i pisarza dr. Adama Mieczysława Skalkowskiego widywano jesienią 1908 r. we Lwowie żywo dyskutujących ze sobą przy kawiarnianych stolikach. Nie udało się już ustalić, którego dnia zdecydowali się na wydawanie pisma ukazującego mechanizmy polityczne i narastające konflikty polsko-ukraińskie we wschodniej Galicji. Zapewne już przy końcu listopada 1908 roku rozpoczęli prace nad artykułem wstępnym „Nowa ugoda z partią ukraińską”. Tekst ten otwierał pierwszy numer dwutygodnika politycznego „Rzeczpospolita” z datą 1 stycznia 1909 roku, którego redaktorem odpowiedzialnym został dr Browiński, a wydawcą dr Skalkowski. Pismo zostało przyjęte źle przez socjalistów, nieufnie przez społeczność akademicką, z umiarkowanymi nadziejami przez narodowych demokratów i wrogo przez antypolskich Ukraińców. ■

Bogna Wernichowska

Lwów się bawi

Jeśli wierzyć pamiętnikarzom, nie było zimą weselszego miasta i bardziej hucznych karnawałów nad lwowski. Bawiono się wówczas wszędzie – poczynając od arystokracji skupionej wokół pałacu Namiestnika, poprzez bogate ziemiańskie i mieszczańskie rodziny prowadzące domy otwarte, sfery artystyczne – aż do bardzo demokratycznych zabaw w tancbudach na przedmieściach miasta. Lwów słynął też z wielkich bali publicznych, na których spotykali się przedstawiciele wszystkich niemal środowisk. Sława lwowskich karnawałów docierała nawet do Wiednia, stąd podobno i oficjalne cesarskie wizyty nieraz miały miejsce w karnawale.

„PRZEPRASZAM WASZĄ WYSOKOŚĆ!”

W styczniu 1881 roku Franciszek Józef wraz z liczną świtą przybył do stolicy Galicji uroczyście witany na lwowskim dworcu przez wszystkie stany – jak pisała ówczesna prasa. Zima była mroźna i śnieżna, sanna wspaniała, stąd też cesarskim ekwipażem zaprzężonym w prześliczne, białe konie, lipizzanery, zmieniono koła na płozy. Całe miasto podziwiała te imponujące sanie zdobne cesarskim herbem, sunące przez pryncypalne ulice w stronę namiestnikowskiego pałacu.

Na drugi dzień, a było to 31 stycznia, odbył się wspaniały bal w salach ratusza. Wśród licznych gości obecny był młody człowiek, Marian Rosco-Bogdanowicz – zaledwie 18-letni, noszący pierwszy w swym życiu frak. Syn bogatej szlacheckiej rodziny z Podola, miał w przyszłości zostać szambelanem na wiedeńskim dworze, a w późnej starości spisać swe wspomnienia – wielce barwny i interesujący obraz życia towarzyskiego i obyczajowego w tamtej epoce.

A że bal zrobił na młodziku wielkie wrażenie, stąd wiadomo, jak bawiono się w przytomności Jego Cesarskiej Mości w salach lwowskiego ratusza w ostatni styczniowy wieczór 1881 roku.

Powitany przez radę miejską, a wszyscy w polskich strojach, u wjazdu do ratusza, cesarz wszedł na sale wiodąc pod rękę

żonę namiestnika panią Alfredową Potocką, wówczas jeszcze piękną i olśniewającą szafirami z łańcuckiego skarbcza – wspomina Rosco-Bogdanowicz. Orkiestra zagrała Boże ochroń, Boże wspieraj i cesarz, przeszedłszy wzdłuż szpaleru pochyłających się w dworskich ukłonach gości, zajął stojący na podium fotel – wokół stanęła świta. Tymczasem kilkadziesiąt par ustawiać się zaczęło do mazura, ulubionego tańca, któremu także cesarz – o czym wiedziano – zawsze chętnie się przypatrywał, jeżeli mu się zdarzyło być obecnym na balach w Galicji.

Rozległy się pierwsze tony dziarskiego tańca. Wszystkie pary były w polskich strojach.

Wielu danserów wyjęło na ten wieczór spośród rodzinnych pamiątek bezcenne słuckie pasy, a do odświeżonych kontuszów przyszyło guzy z drogich kamieni. Ich partnerki wybrano spośród znanych z urody lwowskich pań i panien, z najbardziej szacownych szlacheckich i mieszczańskich familii.

Mazura prowadził Jerzy Weryha-Darowski, znakomity tancerz, znany ze swego temperamentu i godnych podobno zawodowego baletmistrza umiejętności tanecznych. *Mazur wypadł świetnie, ale pan Weryha-Darowski tak się rozhukał, że podczas figury zwanej wężem przebiegł na czele długiego korowodu tańczących cesarskie podium i gruchnął cesarza w bok – pisał Bogdanowicz.*

Nieskonfudowany tym bynajmniej zawołał po francusku „pardon Majesté” i pogalopował dalej. Cesarz uśmiechnął się co prawda, ale *był to jedyny wypadek, że podczas przerwy w balu nie kazał sobie przedstawić pana aranżującego tańce – wspominał Rosco-Bogdanowicz.*

Po mazurze wszyscy tancerze ustawili się w koło, a cesarz w towarzystwie Michała Gnoińskiego – prezydenta Lwowa i hrabiny Potockiej przyjmowali prezentację gości. Panów przedstawiał Gnoiński, a panie – Alfredowa Potocka. Czują na damskie

wdzięki Habsburg zwrócił podobno uwagę na dwie urocze młode dziewczyny, *jasnowłose w typie angielskim, przypominające portrety piękności Albionu*.

Kiedy hrabina zapytała siostry bliźniaczki o nazwisko, jedna z nich odpowiedziała „Klerman”, co pani Alfredowa zrozumiała jako Clermont i tak przedstawiła panny cesarzowi. Ten zdumiony cudzoziemskim brzmieniem zapytał *Panie są Polkami? Tak, Polki, ale Izraelitki* – odpowiedziała jedna z nich. Cesarz uśmiechnął się łaskawie i powiedział: *To nic nie szkodzi*. Pani Alfredowa opowiadała to wydarzenie w towarzystwie jako anegdotę.

W KRĘGU DOBRYCH RODZIN...

Sprawozdawcy prasowi – w tym także lwowski korespondent „Czasu” – wyliczali sumiennie, kto też we Lwowie *przyjmował podczas karnawałów* i dochodzili do konkluzji, że przez te najweselsze tygodnie roku rodzin kręgu szlachty i bogatego mieszczaństwa, regularnie urządzających bale czy tańczące wieczorki, było w mieście pięćdziesiąt kilka.

Otwierały na karnawał swe podwoje pałacyki i dworki należące do mieszkającej na Podolu szlachty, tańczono też w amfiladzie pokoi mieszczańskich kamienic.

Dla młodzieży wielką atrakcją były tak zwane *adolescenten-bale*, czyli popołudnia taneczne, na których bywały panienki i młodzieńcy od piętnastego do osiemnastego roku życia – jeszcze niewprowadzeni oficjalnie w świat. Wodzirejem był zwykle któryś z popularnych we Lwowie *metrów tańca* – wywodzili się oni zwykle z lwowskiego baletu. Chłopcy występowali w gimnazjalnych czy studenckich odświętnych mundurach, dziewczęta w białych sukienkach, przepaszanych błękitnymi czy różowymi szarfami.

Tańczono niezmordowanie od czwartej do dziesiątej wieczór, pogryzając w krótkich przerwach między walcami i kadrylami drobne ciasteczka, popijane szklankami cytrynowej lemoniady. Wszyscy byli z tych karnawałowych popołudni wielce zadowoleni – młodzi, bo w dobie, kiedy koedukacja nikomu nie była znana, mogli bezkarnie ścisnąć w tańcu dłonie panienek. Towarzyszący młodzieży starsi także dlatego, że gościnni gospodarze dbali o ich rozrywkę, aranżując w przyległych salonikach partie kart, szachów a czasem nawet występy

lwowskich aktorów, nie mówiąc o smacznych i ładnie zastawionych stołach *w stylu angielskim* – co w tamtych czasach było bardzo modne: mocna herbata ze śmietanką, grzanki i tartinki, albo *francuskim*, kiedy to stoły zastawione były maleńkimi, wytwornymi przekąskami.

Wielkim powodzeniem cieszyły się tak zwane *pikniki*, urządzone w pałacu namiestnikowskim przez hrabinę Marię z Sanguszków Potocką zwaną familiarnie *panią Alfredową*. Ta mądra i popularna w towarzystwie lwowskim dama zdawała sobie sprawę, że wielu ziemian o świetnych nazwiskach nie bywa na balach z braku pieniędzy na reprezentację, chcąc więc i tym zubożałym rodzinom oddać honor i dać im możliwość przedstawienia córek ludziom lepszej sfery, wydawała przez cały karnawał we wtorki i czwartki składkowe przyjęcia połączone z tańcami. Wstęp nigdy nie wynosił więcej niż 5 guldenów od osoby (dochód przeznaczony był na podrzutki), a sama hrabina pokrywała koszty kolacji, serwując gościom ryby i pulardy z gospodarstwa w Łańcucie.

Podczas pikników damy występowały w skromniejszych toaletach (przybycie w sukni z trenem i brylantowej koliai uważano by za nietakt), a panowie niekoniecznie musieli być we frakach.

I tak niejedna dobrze urodzona, choć uboga panienska zawdzięczała pani Alfredowej zrobienie dobrej partii, gdyż gospodyni pikników dbała, by młodzi ludzie otrzymujący zaproszenia byli materialnie niezależni, a czasem nawet majątni – wspominał Rosco-Bogdanowicz.

NOCE W MIEJSKIM KASYNIE

Wielkie bale publiczne w Miejskim Kasynie gromadziły rzeczywiście *cały Lwów*. W marzurze i walcu bratały się różne stany, skromni urzędnicy obtańcowywali panny o wielotyśięcznych posagach, panienki o pięknych nazwiskach ochoczo podawały w tańcu dłonie lwowskim *selfmademanom*.

W latach osiemdziesiątych XIX wieku prawdziwe poruszenie wywołało pojawienie się na balu rodziny Kisielków. Pan Jan Kisielka był bardzo zamożnym właścicielem słynnego browaru na Podzamczu. Mówiono, że zaczął od stanowiska palacza kotłów, a jako człowiek 50-letni był wielokrotnym milionerem, jego piwo znane było nie tylko

we Lwowie i we Wschodniej Galicji, wysyłał je także na Węgry, a nawet do Wiednia.

Papa Kisielka, wówczas już wdowiec, miał trzy przystojne, wesole i lubiące się bawić córki, a także trzy młodsze od siebie siostry. Dwie z nich to były typowe „wesole wdówki” – najmłodsza panna w balzowskim wieku. Te sześć dam, ubranych w sprowadzane z Wiednia toalety, obok wysokiego, zażywnego piwowara, wciśniętego w ten wieczór w sztywną koszulę z gorsem i frak, zwracały uwagę wszystkich od chwili wkroczenia na balową salę. Wokół panien i ciotek cisnęli się kawalerowie i wdowcy, znający dobrze okrągłe sumy posagów, jakiego bogaty browarnik przeznaczał nie tylko córkom, ale i siostram, gdyby i te ostatnie znalazły jeszcze konkurentów.

Pan Kisielka podejmował też co środę w swoim wcale obszernym pałacyku przy browarze. Dom jego słynął z gościnności, dobrej muzyki i wystawnego stołu. Nic też dziwnego, że cała szóstka domowych niewiast w ciągu trzech karnawałów doskonale wydała się za mąż, ku radości jowialnego browarnika.

ZABAWA W SIENKIEWICZOWSKIM STYLU

Kiedy na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych triumfy czytelnicze święciła *Trylogia*, lwowskie Towarzystwo Dobroczynności wpadło na pomysł, aby na ratuszu wydać kostiumowy bal, na którym wszyscy obecni mieli być przebrani w stroje bohaterów tego dzieła. Złośliwy sprawozdawca zauważył później, że do mazura stanęło sześciu Wołodyjowskich, dwanaście Helen Kuncewiczówien, dziesięć pań w kostiumach mających naśladować strój dworki księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej, Anusi Borzobohatej, a prawie wszystkie damy w kwiecie wieku przebrały się za księżnę Gryzeldę.

Widziano też paru Bohunów, kilku Ketlingów, gromadę husa-

rzy, a dwóch zażywnych starszych panów, włożywszy kontusze i zakrywszy lewe oko opaską, wyobrażało Zagłobę. Bal udał się nadzwyczajnie, tańczono poloneza, kilka mazurów, a nawet – aby modzie epoki, w której rozgrywa się akcja *Trylogii*, stało się za dość – majestatyczny taniec *świecznikowy*, podczas którego każda z danserek trzymała w dłoni zapaloną świeczkę. Opuszczone dzieci, na które łożyło Towarzystwo Dobroczynności, miały dzięki tej karnawałowej imprezie, *zapewniony opał do końca zimy, ciepłe okrycia i trzewiki (...), do lwowskich zakładów opiekuńczych dla dziatwy odesłano też wiele koszy napełnionych pieczywem, łakociami i wędliną – wszystko, co pozostało w balowych bufetach* – pisał sprawozdawca „Czasu”, chwając też dodatkową inicjatywę, polegającą na kweście podczas przerwy w tańcach. Pięć najładniejszych panien w kostiumach Sienkiewiczowskich bohaterek wzięło przybrane wstążkami i różami kosze i obeszło całe towarzystwo. Tak panowie, jak i panie wrzucali uroczym kwestarkom do koszyczków wcale niebagatelne datki. Zebraną sumę 6 tysięcy reńskich przekazano potem na fundusz pomocy ubogim studentom uniwersytetu.

Powyższy tekst zapożyczylimy za zgodą Autorki z dziennika „Czas” z 2/3 lutego 1991 r.

BOGNA WERNICHOWSKA była m.in. wieloletnią redaktorką w dawnym „Przekroju”.



Gmach Gubernium we Lwowie na XIX-wiecznej rycinie. Po lewej tzw. Wały Gubernatorskie

POEZJA

W ubiegłym i bieżącym roku przeżywamy dwie rocznice związane z życiem Kornela Makuszyńskiego: w tym roku mija 130 rocznica Jego urodzin (1884 – w Stryju), w ubiegłym 60 lat od Jego śmierci (1953 – w Zakopanem).

Kornel Makuszyński

DO KOBIETY POLSKIEJ Bohaterskim matkom – bohaterskich dzieci lwowskich

z głębi serca ofiarowane
Śmierć dała hasło, a na to wezwanie
Drży ponad światem wyciągnięta ręka,
Zaś wszystkie matki, co już śpią w kurhanie
Nagle się budzą i każda przykłęka
I szepce: Dziecko jakieś ratuj Pani!
A żywe słyszą i serce im pęka.
Najświętsze serce, jakie jest na świecie:
Matki, co polskie wychowała dziecię.
O Matko Polko! Coże jest królowa
Co głowę stroi w blask i dyjamenty,
Kiedy się twoja biedna, droga głowa
W siwizny swojej blask przystroi święty.
I kiedy czytasz: Matko ma, bądź zdrowa!
W liście, co cały krwią jest przesiąknięty,
A pieczęć na nim krwawi się jedyna:
Ostatni odcisk warg twojego syna?
O, Matko lwowska! – czy ci też wystarczy,
Kiedy ten zastęp przypomnisz młodzieńczy,
Co jako orły lecą, a grom warczy,
I wzrok kieruje na nich potępieńczy?
Oto ci syna przyniosą na tarczy,
I ktoś mu głowę wawrzynem uwieńczy,
A Bóg też twoich perły zebrać każe
I orły niemi wyszyć na sztandarze.
Do kolan Twoich, święta polska Pani,
Do kolan Twoich i do stóp się chylę,
O łaskę żebrać. Bo w gwiazdnej otchłani
Serce się moje w złotym błąka pyle,

A ziemi mojej to przyniosłem w dani
Żem gonił słowa piękne jak motyle.
I ja i owi, strojni w złotogłowie
Siwych swych matek nieszczęśni synowie.
Kiedy Cię widzę, taką boleściwą,
Z twarzą od bólu, jak Jej twarz szcerniałą
Z mieczami w sercu, nad cmentarną niwą
Patrzącą, czy też dziecko jej nie wstało,
Aby je posłać znów na śmierć szczęśliwą.
Gdyby tych skonów jeszcze było mało...
Kiedy Cię widzę, w bólu twego dumie
Płaczę, jak dziecko tylko płakać umie.
Kajam się!... moja wina, wina wielka
Że ślepe były moje młode lata...
Co śmiechem żyły, zaś pustota wszelka
Kędyś po chmurach krąży, krańcem świata
A w dole matka ziemia rodzicielka
Łka wód rzekami, płacze rosą w kwiatach,
Że syn jej, mając słów skarbnicę,
Najjadowitsze w blade ciska lice.
Wierz mi, kobiety polskiej czyste serce,
Iżem nie wiedział, żeś Ty jest na ziemi,
Przeto anielstwo miałem w poniewierce,
Co się oczyma patrzy niebieskimi
I na Ezopy złe i na szyderce...
Że jest Ruth jasna i słodka Noemi,
I takie matki, co serca kawałem
Karmią swe dzieci – tego nie wiedziałem!
Żem to dziś poznał, Tobie cześć i chwała!
Całem mem sercem, całą duszą moją,
O Polko jasna, czysta, święta, biała,
Któraś tej ziemi słońcem jest i zbroją
Krzakiem płonącym, co w bezdrożu pała,
Nadzieją owych, co się bardzo znoją,
Matką bezdomnych i chorych pociechą
Co brzmi jak świergot jaskółczy pod strzechą.
O jakżeś piękna i jakżeś dostojna!
Oto Ty sercem znajdziesz owe ślady,
Gdzie polskie chaty zaołała wojna,
Ty będziesz świętym słowem rady,
Aby się Polska znowu stała rojna
I aby skonał smęt i głód i zwady.
I Ty zasiejesz nowe polskie zboże,
A Matka Siewna niech Ci dopomoże!
Kobieto polska! Te są w Tobie moce
Co kłos z dzikiego ugoru wywiodą,
Gwiazdy rozpała w smutne polskie noce
A uschłe drzewo obsypią jagodą.
O zjawo jasna, w czarnych dni pomroce,
Niech Ci Bóg duszę da wieczyście młodą
I niech anielstwo twe pomnoży w dzielność
Byś z Inu wyprzędła Polsce Nieśmiertelność.

15 stycznia 1919

Aleksander Kalmus

Profesor

(wspomnienie myśliwskie)

Gdy w bezsenne noce nawiedzają mnie myśli, obawy i troski, staram się zwalczyć je wspomnieniami pogodnymi i radosnymi. Powracam – jak prawie wszyscy w starości – do lat dzieciństwa i młodości.

Najsilniej, z dokładnością precyzyjnego rysunku, narzuca się wtedy mojej pamięci wspomnienie trzydniowego polowania z ojcem na Łojowskiej Górze, na południe od Nadwórnej. Widzę tamte odległe obrazy i zdarzenia. Nie utraciły one nic ze swej barwności, zastygły wyraźnie, jak na kliszy.

Leżę w bujnej trawie, na rozgrzanej słońcem, nieskoszonej jeszcze łące, na południowym stoku góry. Wzrok mój błądzi coraz to dalej i dalej. Na ciemnobłękitnym niebie stoją nieruchomo, wysoko, białe pasy pierzastych cirrusów wróżących pogodę. Na ich tle przesuwiają się majestatycznie dwa jastrzębie; krążą, jakby nie poruszały skrzydłami, zataczają koła, spirale, czasem zdaje się, że zawisły bez ruchu w jednym punkcie. Pasma wzgórz, potem gór, rysują się jedne za drugimi, coraz wyższe, każde w innym kolorycie. Te najbliższe ciemnozielone, dalsze coraz jaśniejsze, poprzez odcienie fioletu, aż do szarości ostatniego, najwyższego – Czarnohory.

W kierunku południowo-zachodnim rozciąga się pasmo Gorganów. Wyróżnia się ostro Sywula i potężna Doboszanka, a zza Jawornika sterczy stożek Chomiaka. Z zamykającej horyzont, lekko przymglonej Czarnohory wznosi się Pietros, dalej na wschód grupa Howerli, a jeszcze dalej Pop Iwan.

Za ciemną postacią świerkowego boru widać odcinek toru kolejowego, wchodzącego na łukowy wiadukt w Lubieżniej, ginie on za zakrętem w lesie. W dolinie błyszczą Prut, to niknie, to znów się pojawia w dali, kilkakrotnie rysując swoje zakola, znaczy swą drogę złotymi błyskami. Ukazują się fragmenty Jaremczka, Mikuliczyna, Worochty.

Łąka pachnie ziołami i kwiatami. Brzęczą owady, bezszelestnie unosi się – jak-

by skokami – ważka. Jej długie skrzydła przeświecają kolorami tęczy. Różnobarwne motyle tańczą i przysiadają na kwiatach. Z otaczających nas lasów dochodzi ptasia muzyka; kukanie, kłaskanie i trele sprawiają wrażenie zawodów wokalnych. Jakiś pan wilga z panem kosem przedrzeźniają się wzajemnie, a sójka wtrąca się terkotaniem. Wabi zięba, szczygieł i drozd. Przed wieczorem rozpoczną swój koncert słowiki. Wydaje się, że przyroda rozsypała na tej łące i otaczającym ją lesie całe swoje bogactwo barw, kształtów, gatunków. Boże! Jakbym chciał wyrazić piękno Twego świata! Nie potrafię. Chłonę tylko widok, odgłosy i nastroj chwili. Jakbym przeczuwał, że wnet to wszystko utracę.

Była to połowa czerwca 1939 roku. Przyjechałem z Ojcem furką zaprzęzoną w parę koni wczoraj po południu. Nie była to ani wycieczka, ani zwykłe polowanie. Przyczyną i celem naszej wyprawy był „profesor”. Z tego przezwiśka od wielu lat znany był leśnikom i myśliwym stary rogacz – „myłkus”.

Miał na swoim koncie liczne morderstwa młodych, dorodnych kozłów, które zabijał lub ciężko kaleczył – długimi prawie prostymi rogami, zdegenerowanymi, w kształcie bagnetów. Atakował nie tylko w walce o samice w okresie rykowiska, ale przy każdej okazji, jakby zabijanie sprawiało mu radość. Od lat był już zresztą poza wiekiem rozplodowym, czego dowodem było atakowanie nawet samic. Wisiał więc nad nim wyrok śmierci wydany przez łowczego powiatowego. Wielokrotnie myśliwi zasadzali się na niego. Był kilka razy strzelany i raniony, ale zawsze potrafił się jakoś wylizać. Nabrał za to doświadczenia i chytryści. Zmieniał stale miejsca pobytu i to w dalekim zasięgu. Wykazywał niesłychaną ostrożność i czujność i konsekwentnie prowadził swój zbójcki tryb życia. Wśród myśliwych stał się żywą legendą. Każdy marzył o zdobyciu jego poroża, a głównie sławy pogromcy „Profesora”.

I teraz właśnie, gdy strażnik leśny wypatrzył go na Łojowskiej Górze, kolejka przysłała na mego Ojca i... szansa dla mnie.

Byłem wtedy świeżo po maturze licealnej w Stanisławowie i przyjechałem na zasłużone wakacje.

Od dziesiątego roku życia Ojciec zabierał mnie coraz częściej na polowania, górskie

wycieczki i wyprawy. Był bardzo aktywny w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim, ale był też wytrawnym myśliwym. To jego hobby wynikało nie z pasji upolowania zwierzyny, ale z miłości do niej i do przyrody. Strzelał bardzo rzadko i tylko w ramach odstrzału selekcyjnego. Zwalczał też na swoich terenach łowieckich kłusownictwo, bardzo rozpowszechnione na Huculszczyźnie, i starał się w swoim Kole Łowieckim o podniesienie morale myśliwych, ich wiedzy o zwierzynie i przyrodzie.

Na Gwiazdkę 1936 roku, na krótko przed ukończeniem 16 lat, dostałem od Ojca dubeltówkę, dobrą „szesnastkę” belgijską i prawo do ustrzelenia przy sposobnej okazji rogacza. Nadarzyła się ona w lecie następnego roku, gdy przeznaczył jednego kozła na odstrzał selekcyjny. Pojechaliśmy do Lasów Majdańskich na „podjazdkę”. Ustrzeliłem wtedy mego pierwszego i... ostatniego kozła. Gdy zwierzę padło, podeszliśmy do niego. A wtedy rogacz podniósł swój piękny łeb i spojrzał na mnie. Z jego wielkich oczu spływały dwa rzędy łez. W tym spojrzeniu był taki strach, ból i żal, że serce mi zamarło.

Przyrzekłem sobie wtedy nie strzelać nigdy więcej w życiu do zwierzyny płowej. Tego spojrzenia nigdy nie zapomnę. Ojciec dobił go potem strzałem w serce. Polowałem już tylko na lisy, dziki i wilki.

A teraz miałem się zmierzyć z „Profesorem”. Najpierw odmówiłem, ale Ojciec wytłumaczył mi, że jest to coś całkiem innego i nie sprzeniewierzę się swemu przyrzeczeniu zabijając mykusa; uratuję przecież w ten sposób życie wielu rogaczy.

Po przyjeździe na miejsce chłopską furką i wyładowaniu bagaży przy brogu siana, w którym mieliśmy nocować, udaliśmy się na przegląd terenu. Na najwyższym położonym punkcie hali stał samotny, stary jesion, a na nim została zmontowana tzw. ambona. Z tej platformy był doskonały wgląd na prawie cały teren, obejmujący rozległe łąki przedzielane odgałęzieniami mieszanego lasu i grupkami drzew. Przez lornetki sprawdzaliśmy polaną za polaną, aż do zapadnięcia zmroku. Pokazało się kilka jeleni, stadko saren i młodzieży, ale zaledwie dwa kozły. Nie było naszego „Profesora”.

Wytypowaliśmy najkorzystniejsze miejsce na „zasiadki” do kolejnego obsadzania

i już dobrze głodni i zmęczeni wróciliśmy na nasz biwak. Buzowało tam wesołe ognisko, rozpalone przez towarzyszącego strażnika łowieckiego – Symeona. Nocleg był przygotowany w prawie jeszcze pustym brogu, gdyż sianokosy miały się dopiero zacząć. Symeon przygotował dla nas suche sianko i na nim warstwę drobnych gałązek jedliny. Na czterech okorowanych pieńkach świerków spoczywał zawieszony na rzemiennych pętlach czterospadowy dach ze strzechą. W miarę wypełniania brogu sianem dach podnoszono do 4–5 metrów.

Nad ogniskiem wisiał kociołek na żerdzi, a w nim bulgotała kipiąca woda źródłana. Z apetytem spożyliśmy smaczną obiado-kolację. Upiekliśmy na rożnach młode kurczaki, do tego był chrupiący chleb z masłem. Popiliśmy herbatą z rumem. Po jedzeniu były pogawarki. Ojciec opowiadał o walkach w Karpatach w czasie pierwszej wojny, a Symeon o przeprawach z kłusownikami. Nawiasem wspomnę, że i on sam też był „raubszycem”, do czasu gdy został strażnikiem. To była sprawdzona metoda Ojca; nikt tak dobrze nie znał terenu, zwierzyny, zwyczajów i konkurentów jak oni. Od momentu złożenia przysięgi i otrzymania legalnie strzelby stawali się idealnymi „cerberami”. To była sprawa honoru.

Mieliśmy następnego dnia zacząć od wczesnorannej „zasiadki”, więc udaliśmy się do brogu na spoczynek. Wleźliśmy w śpiwory na kocach, pachnącym sianie i jedlince. Z lasu dochodziły pohukiwania sów, gwiazdy migotały znacznie większe i wyraźniejsze niż w dolince. Usnąłem prawie natychmiast.

Zbudziło mnie terkotanie budzika. Było jeszcze zupełnie ciemno i bardzo chłodno, ale trzeba było wstawać, by zająć stanowiska jeszcze przed nadejściem zwierzyny. Ta bowiem, zanim wyjdzie na otwartą przestrzeń, bacznie obserwuje, co się tam dzieje. Na śniadanie nie było czasu ani ochoty. Łykaliśmy tylko z termosu gorącej herbaty z cynamonem dla rozgrzewki i wyruszyliśmy w drogę.

Ojciec zaprowadził mnie na stanowisko około dwa kilometry od obozowiska w młodniku. Potem sam udał się na swoje miejsce. Las był odległy o jakieś 60 metrów.

Zaczynało świtać. Załadowałem strzelbę i znalazłem sobie pieńek za kępą wysokiej

paproci. Niebo na wschodzie rozjaśniało się coraz mocniej, potem poróżowiło, zrobiło się zupełnie jasno. Słońce miałem za plecami, łaskę przed sobą. Przemożnie ogarniała mnie sennaść, ale walczyłem z nią, wyobrażając sobie, że za chwilę wyjdzie z lasu „Profesor”. I rzeczywiście... wyszedł wprost naprzeciw z przecinki nie on, ale piękny jeleni, czternastak. Bacznie rozglądał się po łące i zaczął się spokojnie paść. Co kilkanaście sekund podnosił łeb z rozłożystym porożem i sprawdzał, czy jest bezpiecznie.

Po jakimś kwadransie pokazały się o 200 metrów dalej trzy sarny i skubiąc trawę powoli się oddalały.

Nieoczekiwanie poczułem za uchem bolesne ukłucie i odruchowo klapnąłem ręką, aby zabić gza. Ale przy tym zawadziłem o gałązkę i natychmiast jeleni spojrział w moją stronę. Zamarłem w bezruchu, ale to go nie uspokoiło. Zrobił kilka kroków w moim kierunku, stanął i znów kilka kroków, beknął z dezaprobatą, po czym lekkim truchcikiem pobiegł wzdłuż lasu, w dół łąki. Wołał na wszelki wypadek zmienić miejsce posiłku na bezpieczniejsze. Jeszcze półtorej godziny czekałem na wizytę „Profesora”, ale z lasu dochodził tylko szczebiot i wabienie ptaków. Miały swój drugi, godowy okres.

Wróciłem więc powoli do obozu, gdzie Symeon spał smacznie. Po pół godzinie przyszedł też Ojciec. I on nie zobaczył „Profesora”. Zjedliśmy śniadanie: jajecznicę na wędzonce i kawę z mlekiem, którą przyniosła nam w bańce córka strażnika. Po śniadaniu wybrałem się na spacer na szczyt Łojowskiej Góry, skąd otwierał się widok na stronę zachodnią, w dolinę Bystrzycy Nadwórniańskiej, na Piaseczną i Przełęcz Pantyrską. Znalazłem mnóstwo dojrzałych poziomek i zobaczyłem na drzewie rysia. Zbudzony ze sjeisty południowej, fukał z dezaprobatą, a potem oddalił się niespiesznie.

Wróciłem w samą porę na obiad. Symeon ugotował pyszną mamaligę, którą zjedliśmy z bryndzą i gęstą śmietaną. Potem zdrzemnąłem się ze dwie godziny. Leżałem na miękkiej trawie i mchach i patrzyłem na rozświetlony krajobraz. Było mi dobrze i szczęśliwie. O piątej trzeba było znów wyruszyć na łowy.

Dostałem następne stanowisko, niżej rannego. Była prawie 6 po południu. I znowu zastygłem w bezruchu, z napiętym słuchem

i wzrokiem. Po pół godzinie nadleciała sójka z przeciwległego lasu.

Zaraz mnie wypatrzyła i podniosła wrzask. Latając wokół trzepotała skrzydłami, ukazując piękne niebieskie lustra, terkotała, beczała i świstała z widoczną złością. Napyskowała mi solidnie, po czym poleciała do lasu i tam naplotkowała wszystkim zwierzakom o intruzie na łące. Myślałem, że zostawi mnie w spokoju, ale nie! Wracła dwa razy, by sprawdzić, czy jeszcze jestem. Wiedziałem, że nie pokaże się już żadna sarna, a tym bardziej „Profesor”. O roli sójki jako wywiadowcy mówił mi Ojciec nieraz. Mogłem spokojnie zakończyć polowanie. Nie byłem jednak zły na ptaka, nawet mnie ta scena ubawiła.

Wieczorem i w nocy las rozbrzmiewał pobekiwaniem i szczeniem rogaczy i odgłosami ptaków.

Zasnąłem później, już po wyjściu księżyca. Był prawie w pełni i ostro rysował się na niebie, co zapowiadało piękną pogodę. Następnego dnia był podobny do poprzedniego. „Profesor” był dalej niewidoczny. Obawialiśmy się, że mógł nas wysledzić i ulotnić się na dobre. Poszliśmy spać w minorowym nastroju. Zostało nam tylko jedno, ranne polowanie, a w południe miała po nas przyjechać furka.

Niezbyt dobrze w nocy spałem. Budziły mnie myszy polne dobierające się do naszych zapasów. Kilka razy przeganiałem, ale bezskutecznie, wracały. Wtem Symeon zaczął chrapać. Był to koncert na piłę, gwizdek i maszynę parową. Ale myszy się przeraziły i zniknęły bezpowrotnie.

Rano byłem dość „padnięty”, ale trzymałem przed Ojcem fason. Oprzytomniałem po umyciu się w lodowatym źródelku. Karnie wyruszyłem na ostatnią zasiadkę. Tym razem stanowisko moje zostało wyznaczone całkiem na dole, w południowej zatoce łąki, na granicy z lasem państwowym. Po lewej stronie miałem głęboki, stromy parów zarośnięty młodym laskiem brzoźowym i olchami. Na jego dnie bulgotał wesoło strumyk, spadając małymi kaskadami w stronę Prutu. Przede mną w odległości 70 metrów wyrastała ściana gęstego, wysokopiennego boru świerkowego, a po prawej łąka pięła się łagodnie w górę. Była zarośnięta wyjątkowo wysoką trawą, pełną margaretek,

dzwonek, maków, płomieniczników i mieczyków. W miarę rozświetlania się budziło się coraz więcej ptaków. Dołączały się do koncertujących już od nocy kosów. Ich inwencja muzyczna była zadziwiająca. Usiadłem na małym trójnogu w kępie drzew, osłonięty od góry zwisającą gałęzią, a od dołu krzakiem młodej leszczyny i jałowca. Ułamałem kilka zasłaniających widok gałązek. Byłem w głębokim cieniu.

Na wprost mojej kryjówki otwierała się w ścianie lasu wąska luka, jakby brama, zapraszająca do wyjścia na łąkę. Ona przyciągała głównie moją uwagę i w tym kierunku miałem skierowaną strzelbę.

Czas zaczął się dłużyć. Nic się nie działo. Słońce początkowo przezierало przez gałęzie, a w końcu wyszło ponad ich wierzchołki, zalewając blaskiem wyhaftowaną kwiatami łąkę. Robiło się ciepło. Rozluźniłem napiętą uwagę. Może nawet na chwilę się zdrzemnąłem. Nagle bardziej poczułem niż spostrzegłem jakiś ruch po prawej stronie. Oprzytomniałem natychmiast i powoli zwróciłem głowę w tamtą stronę. Ujrzałem małą sarenkę w odległości 20 metrów. Siutka miała pewnie dwa i pół, może trzy miesiące, była jeszcze cętkowana i prawie kryła się w bujnej trawie. Stąpała krok po kroczku, powolutku, bezgłośnie, z wdziękiem baletnicy. Skubała końce źdźbeł trawy, trącając swoim czarnym, błyszczącym noskiem kielichy kwiatów, jakby je wachała. I ciągle zbliżała się do mnie. Zamarłem w bezruchu. Wpatrzony w urokliwe stworzenie ledwie śmiałem oddychać. O 30 metrów dalej ujrzałem kątem oka drugą sarenkę i ich matkę. I one pasły się spokojnie. Byłem zafascynowany tym widokiem.

Siutka była może 6 metrów dalej ode mnie, gdy na nosie usiadł mi komar. Pamiętny przygody z gzem, nie odważyłem się go klepnąć, ale tylko dmuchnąłem w górę. Po chwili znów zabrzęczał, siadł mi na policzku i włożył pod okulary na powiekę. I wtedy nie wytrzymałem i zdjąłem okulary, by usunąć paskudnika. Momentalnie sarenka pisnęła i spłoszona uciekła w stronę matki. Równocześnie usłyszałem niskie, głośnie szczeknięcie z przeciwnego kierunku. Spojrzałem w tę stronę i przez ułamek sekundy ujrzałem olbrzymiego kozła z długimi prostymi rogami. To był „Profesor”. Włożyłem szybko okulary i zdołałem tylko zauważyć, że głowę

miał prawie całkiem siwą. Stał w odległości może 30 metrów ode mnie, na skraju parowu. Lewym bokiem był zwrócony do mnie, jakby chciał mi ułatwić strzał w komorę. Ale zanim podrzuciłem broń do policzka, myłkus dał susa i potem drugiego. Z łoskotem łamanych gałęzi zniknął w parowie. Musiał podejść w czasie kontemplowania sarenki i pewnie pasł się przez dobre kilka minut w zasięgu strzału. Nie miałbym prawa spudłować! Jak błyskawica przeleciała mi przez głowę myśl, by strzelić w czasie skoku, ale mnie coś powstrzymało od pociągnięcia spustu. Dobrze się stało, bo pewnie bym spudłował albo go ranił. Może musiałbym potem znowu patrzeć na tży płynące z oczu „patriarchy”? Uratowała mu życie siutka, może jego wnuczka?

Taki był koniec tego pięknego polowania i moich nadziei na sławę myśliwską. Taaaką okazję przepuściłem! Patafach, a nie myśliwy! Ale choć musiałem wysłuchać jeszcze słusznych wymówek Ojca, który całe zdarzenie widział przez lornetkę ze swego stanowiska na ambonie – nie żałowałem.

A jeśli nawet był to żal, minął szybko, a obraz ukwieconej łąki ze stąpającą, pełną gracji sarenką został w mojej pamięci jak najdroższy skarb na zawsze.

Maj 1996

ALEKSANDER KALMUS (1921 Lwów – 2000 Kraków, Rakowice), architekt – specjalista budow. przemysłowego, ekolog. Wychowany na Pokuciu i Huculszczyźnie (ojciec pracował w przemyśle naftowym); do szkół uczęszczał we Lwowie, Nadwórnej i Stanisławowie. W 1939 udział w Junackich Hufcach Pracy u boku WP, a po wejściu Sowietów ucieczka do GG. Wskutek dobrej znajomości j. niemieckiego nakaz pracy do fabryki samolotów w Poczdamie, i tam zarazem udział w pracy wywiadowczej dla AK. Zwolniony z powodu gruźlicy, wrócił do Krakowa. Po zakończeniu wojny wstąpił na Politechnikę, studia architektoniczne. W 1951 rozpoczął pracę przy budowie Nowej Huty, najpierw miasta, potem zakładów kombinatu. W 1960–61 pracował w Niemczech, potem w różnych biurach projektowych w kraju. Na emeryturze od 1978, podjął działalność na rzecz ochrony środowiska.

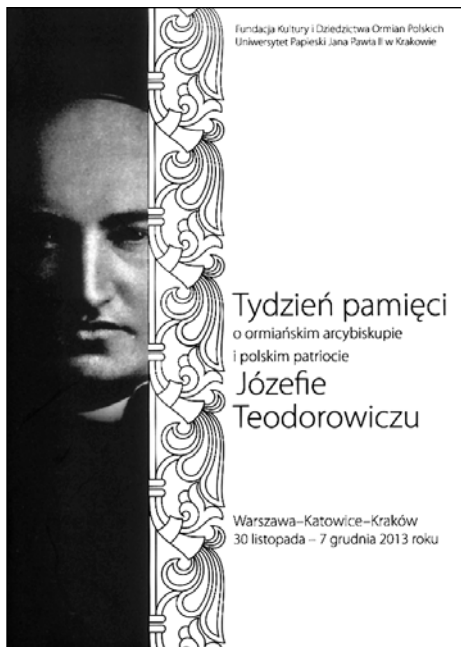


KULTURA NAUKA

KONFERENCJA NAUKOWA

ARCYBISKUP JÓZEF TEOFIL TEODOROWICZ (1864–1938)

Pasterz Kościoła ormiańskiego w Polsce,
mąż stanu, kaznodzieja, pisarz



W dniach 6–7 grudnia 2013 roku odbyła się w Krakowie Konferencja Naukowa poświęcona Arcybiskupowi Józefowi Teodorowiczowi. Konferencja została zorganizowana przez Katedrę Historii Europy Środkowo-Wschodniej XIX i XX wieku Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie oraz Fundację Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich.

Konferencja wpisuje się w program „Tygodnia pamięci o ormiańskim arcybiskupie i polskim patriocie – Józefie Teodorowiczu”.

Patronat honorowy: J. Em. Kazimierz kardynał Nycz, ordynariusz dla wiernych obrządku ormiańskiego w Polsce.

Program konferencji

Dzień pierwszy

Przywitanie gości i otwarcie konferencji – JM ks. prof.dr Władysław Zuziak, Rektor UPJPiI

Słowo wstępne – ks. prof. dr hab. Józef Wołczański, UPJPiI

- ks. prof. dr Józef Wołczański, UPJPiI, *Relacje abp. Józefa Teodorowicza z Kościołem rzymskokatolickim i Cerkwią greckokatolicką w Polsce*
- mgr Tomasz Krzyżowski, UPJPiI, *Arcybiskup Józef Teodorowicz – rządca archidiecezji ormiańskokatolickiej we Lwowie*
- dr hab. Krzysztof Krasowski, UAM, *Arcybiskup Józef Teodorowicz jako mąż stanu*
- dr hab. Andrzej Zięba, UJ, *Arcybiskup Teodorowicz w Warszawie*
- dr Renata Król-Mazur, UJ *„Afera Teodorowiczowska” – czyli o watykańskiej misji abp. Józefa Teodorowicza w sprawie Górnej Śląska*
- dr Joanna Wolańska, IRSA *Rola abpa Józefa Teodorowicza w odnowieniu katedry ormiańskiej we Lwowie i odrodzeniu tożsamości narodowej Ormian lwowskich na początku XX wieku*

Dzień drugi

- ks. prof. dr hab. Kazimierz Panuś, UPJPiI, *Myśl Boża względem Polski – kaznodziejstwo abp. Józefa Teodorowicza*
- ks. dr Stefan Klajman, UPJPiI, *Praca literacko-naukowa abp. Józefa Teodorowicza*
- mgr Luiza Trybuś, UPJPiI, *Wytłumaczyć myśl papieską. Komentarz abpa Józefa Teodorowicza do encykliki św. Piusa X „Poloniae populorum” z 3 grudnia 1905 r. i odrodzeniu tożsamości narodowej Ormian lwowskich na początku XX wieku*
- Irena Gajuk, Lwowska Narodowa Akademia Sztuk, *Kardynał nauk filozoficznych*
- mgr Krzysztof Kubik, FKIDOP, *Arcybiskup Józef Teodorowicz (1864–1938) i jego spuścizna archiwalna*
- mgr Zbigniew Manugiewicz, Jelenia Góra, *Zagadnienia genealogii Teodorowiczów – komunikat*

Podsumowanie i zakończenie konferencji.

KORNEL MAKUSZYŃSKI W NASZEJ PAMIĘCI



W Zakopanem i Stryju nie zapomniano o rocznicach urodzin i śmierci KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO.

Pisarz mieszkał w Zakopanem po II wojnie i tam zmarł 60 lat temu, w 1953 roku, tam też spoczął na starym cmentarzu na Pęksowym Brzyzku. Przyszedł na świat w 1884 r. w Stryju, w tym roku więc będziemy ob-

chodzić następną okrągłą rocznicę – 130-lecie Jego urodzin.

To nie wszystko o miejscach życia Kornela Makuszyńskiego. Swoją młodość spędził we Lwowie, ukończył tam polonistykę i romanistykę (te lata zaowocowały kilkoma książkami, przede wszystkim *Uśmiechem Lwowa*). Po I wojnie przeniósł się do Warszawy. Dużo wydawał, przeto mógł zebrać piękną kolekcję dzieł sztuki, bibliotekę. To wszystko przepadło w bombardowaniu w 1939 roku. Po II wojnie osiadł w Zakopanem. Do śmierci w 1953 r. żył w niedostatku.

130. rocznicę urodzin Pisarza postanowiono uczcić w Stryju. W 2014 r. ma tam powstać pomnik Pana Kornela, o co stara się pani Tatiana Bojko, dobrze znana nauczycielka i dyrektorka Kulturalno-Oświatowego Centrum im. Kornela Makuszyńskiego.

Tymczasem w niedawną rocznicę 60-lecia śmierci przybyła do Zakopanego grupa polskiej młodzieży zza kordonu, wystawiając tu przedstawienie *Koziołek Matolek podróżuje po świecie*.

Grób ALEKSANDRA BRÜCKNERA zagrożony!

Dla naszych Czytelników nazwisko wielkiego historyka literatury i kultury polskiej, profesora sławistyki w Berlinie, jest na pewno dobrze znane, tym bardziej, że Aleksander Brückner (1856–1939) urodził się w Brzeżanach, a pierwszą część swego życia naukowego spędził na Uniwersytecie Lwowskim. W 1924 r. zaproponowano mu

utworzenie katedry sławistyki na Uniwersytecie Berlińskim. Na przełomie lat 80. i 90. XIX w. dokonał w Bibliotece Petersburskiej epokowego odkrycia *Kazań Świętokrzyskich* – najstarszego znanego dokumentu w języku polskim, niewątpliwie zrabowanego gdzieś przez Rosjan na ziemiach polskich. Miał też wiele innych zasług*, stąd został nazwany ojcem polonistyki.

Profesor Bruckner zmarł w Berlinie i spoczął na cmentarzu obecnie likwidowanym, a jeżeli strona polska nie poczyni odpowiednich starań, jego grób może być zrównany z ziemią. Podobno Ministerstwo Spraw Zagranicznych, dopingowane przez wieloletnie polskie opiekunki, już podjęło starania. Nie podano jednak, gdzie mógłby być przeniesiony ten grób. Czy do Polski?

* Wydał 4-tomowe *Dzieje kultury polskiej* oraz *Encyklopedię staropolską*.

Oparliśmy się na artykule P. Subika z „Dziennika Polskiego” z 7 XI '13.

Kronika

◆ W Przemyślu, któremu w naszych czasach przypadła szczególna rola dzisiejszego miasta kresowego oraz stania na straży pamięci o naszych Ziemiach Wschodnich, odbyła się trzydniowa uroczystość patriotyczna. Modlono się za prawie stuosobową polską elitę, która straciła życie w katastrofie pod Smoleńskiem, za 20-tysięczną masę polskich oficerów, którzy zginęli w Katyniu i innych sowieckich obozach, oraz za niezliczone ofiary deportacji, a wreszcie wymordowanie kilkudziesięciu tysięcy Polaków w wioskach Wołynia i Małopolski Wschodniej.

Kulminacją uroczystości była solenna msza św. oraz **poświęcenie Ronda Kresowian**. Autor relacji w „Na Rubieży” J. Borzęcki pisze, że na Rondzie rozsypano garść ziemi zebranej z mogił polskich bohaterów, w tym Obrońców Zadwórze.



Aleksander Brückner

Z TAMTEJ STRONY

SZKOŁA ŚWIĘTEJ MARII MAGDALENY

31 października 2013 roku miało miejsce we Lwowie arcyważne – na miarę naszego czasu i sytuacji – wydarzenie. Oto, jak zapewne wielu Lwowian wie¹, Szkole nr 10² przywrócono oficjalnie imię jej historycznej patronki, Świętej Marii Magdaleny. Szkoła MM powstała w 1816 roku, trwa więc blisko 200 lat – za dwa lata będziemy obchodzić ten *okrągły* jubileusz.



Oficjalna nazwa Szkoły miała jednak swoją długą, bo prawie 70-letnią przerwę. Sowietci, kiedy ostatecznie zajęli nasze Ziemię Wschodnią, w tym Małopolskę Wschodnią (pomijając czasy wojenne), imię patronki odrzucili. Szkoła nosiła przez te lata jedynie *numer 10* i urzędowe tytuły, zależne od statusu szkoły – powszechna czy średnia, a te zmieniały się kilkakrotnie.

I teraz powróciła nazwa z imieniem patronki: ŚREDNIA OGÓLNOKSZTAŁCĄCA SZKOŁA nr 10 im. św. Marii Magdaleny. Przy wejściu zawieszono dwie tablice z tym napisem w dwóch językach, nie wyjaśniając jednak, że to *szkoła polska*, czy też z *pol-skim językiem wykładowym*.

Przywrócenie Szkole imienia historycznej Patronki doszło do skutku dzięki wieloletnim staraniom Pani dyr. Marty Markuniny,

Arcybiskup M. Mokrzycki i nowy proboszcz kościoła św. Marii Magdaleny ks. Paweł Tomys u wejścia do Szkoły poświęcają jej przywróconą tożsamość



W sali szkoły – portret św. Marii Magdaleny, mal. Jerzy Komarowski

grona nauczycielskiego i polskiej społeczności Lwowa. Władze zgodziły się wreszcie na to ustępstwo wobec przeszłości, bo chodziło nie tyle o Świętą – Maria Magdalena jest również świętą dla chrześcijan obrządków wschodnich – co raczej o polską tradycję tej szkoły. Niebagatelną, dwuwiekową. Znalazł się więc ktoś, komu nieobca była europejska kultura i rozsądek. Wyraził zgodę na uznanie tradycji i usatysfakcjonowanie polskiej części społeczności Miasta.

Datę uroczystości wyznaczono na ostatni dzień października minionego roku. Niżej podpisany, dawny uczeń tej szkoły, należał do zaproszonych „szczęśliwców”.

* * *

Do Lwowa udaliśmy się we środę 30 X. W grupie 20-osobowej, prowadzonej przez p. Macieja Wojciechowskiego, humanisty i filmowca. Grupa zakwaterowała się w Brzuchowicach³. Tego



Młodzież Szkoły wita gości

Przemawia Pani Dyrektor Marta Markunina



Przemawia Konsul Generalny
Jarosław Drozd



samego dnia wieczorem w Teatrze Skarbkowskim obchodzono 55-lecie Polskiego Teatru Ludowego, który – jak pamiętamy – ma swoją siedzibę w Domu Nauczyciela, czyli pałacu hr. Bielskich przy ul. Kopernika⁴. Na ten temat napiszemy osobno.

Nazajutrz, we czwartek 31 X, w samo południe odbyła się w kościele św. Marii Magdaleny uroczysta msza św., koncelebrowana przez ks. abpa Mieczysława Mokrzyckiego, który wygłosił okolicznościowe kazanie, oraz ks. bpa Leona Małego. Kościół był pełny aż popod chór; prezbiterium zajęła młodzież ze Szkoły i wiele znanych osób z polskich środowisk.

Prosto z kościoła udaliśmy się do tak bliskiej szkoły. Pierwszym aktem spotkania stało się odsłonięcie tablicy upamiętniającej to piękne wydarzenie.

Zeszliśmy w dół do sali gimnastycznej, wypełnionej już po brzegi. Na uwagę zwracali przede wszystkim obaj księża biskupi, a także ambasador RP z Kijowa Henryk Litwin (był kiedyś konsulem gen. we Lwowie), obecny konsul generalny Jarosław Drozd i dwaj czy trzej jego zastępcy, a dalej sekretarz gen. Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Kunert oraz cała gru-

pa dygnitarzy ukraińskich. Polskie środowisko reprezentowała przede wszystkim Pani Dyrektor Szkoły Marta Markunina i grono nauczycielskie z Prof. Marią Iwanową na czele, pani Emilia Chmielowa – prezes Federacji Organizacji Polskich i wiceprezes p. Teresa Dutkiewicz, prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej p. Emil Legowicz, prezes ZNPnU p. Adam Chłopek z Drohobycza, dyrektor Teatru Polskiego p. Chrzanowski i inni.

Uroczystość rozpoczęły oczywiście przemowy, w których nawiązywano do tej ważnej okazji. I po tym część artystyczna: dziewczęta i chłopcy prezentowali polską poezję, śpiewali – indywidualnie i chóralnie. Piękny program przygotowała oczywiście Pani Iwanowa. Między tymi występami wysłuchaliśmy poezji Aleksandra Fredry, którą zaprezentował Andrzej Seweryn, znany aktor z Warszawy, przybyły do Lwowa w związku z jubileuszem Polskiego Teatru.

A kiedy program się zakończył, zaproszono nas – wraz z gronem miejscowych uczestników spotkania – na obiad, fundowany przez Konsulat. Przed Szkołą czekał piękny autokar, który nas zawiózł na ul. Ruską, do polskiej restauracji „Premiera”. Poczęstunek odbył się *na stojąco*, bo lokal nieduży, a gości sporo. Ważne, że była okazja do spotkań i rozmów z wieloma dawno niewidzianymi lwowskimi przyjaciółmi i znajomymi...

Obiad był ostatnim punktem czwartkowego programu. Grupa pełna wrażeń udała się na zasłużony odpoczynek do Brzuchowic.

Przy tej okazji nie można nie po-



Uczniowie i uczennice Szkoły recytują poezję i śpiewają, na najmniejszym zdjęciu aktor Andrzej Seweryn z Warszawy recytuje wiersze

informować Czytelników, że państwo Sosulscy – pan Edzio, znany wszystkim kierownik zespołu tanecznego, oraz pani Beata – założyli restaurację, gdzie? W „Zaświeciu”, na górze Cytadeli, w historycznej willi rodziny Maryli Wolskiej, gdzie na przełomie XIX/XX w. bywała elita literacko-artystyczna Lwowa.

Piątek rano – 1 listopada – to wielki dzień Wszystkich Świętych. Przed doroczną mszą św. na Cmentarzu Obrońców Lwowa zdążyliśmy obejrzeć wystawę malarzy Stefanowiczów w dawnej galerii Orzechowicza przy ul. Ossolińskich (patrz także w *Wertując wydawnictwa*)⁵, po czym autokar zawiózł nas do bramy Cmentarza Łyczakowskiego. Stamtąd dotarliśmy do Cmentarza Orląt i w samo południe księża biskupi odprawili mszę św. na stopniach przed kaplicą. Ludzi było bardzo dużo, głównie miejscowych (w tej porze wycieczek mało), sporo młodzieży i dzieci.

Ciekawostką było to, że równocześnie zauważyliśmy za murem naszego Cmentarza Obrońców – gdzie w latach powojennych Ukraińcy zlikwidowali sporą część naszej nekropolii i założyli cmentarz-pomnik Strzelców Siczowych (konkurencja?) – zbierające się wojsko ukraińskie, duchowieństwo i nieco ludności, po czym usłyszeliśmy śpiewy cerkiewne, a na końcu salwy karabinowe. Cóż się okazało? Był to wszak 1 listopada, rocznica obwołania w 1918 r. tzw. *wolnej Ukrainy*, co spowodowało wojnę polsko-ukraińską i naszą historyczną Obronę Lwowa, zakończoną po trzech tygodniach, 22 listopada. Szczęśliwie wszystko odbyło się tym razem spokojnie, bez jakichkolwiek zachepek.

Po tej ostatniej „atrakcji” wyruszyliśmy z powrotem do Krakowa. Przejścia przez granice w obie strony w Krakowcu odbyły się dość sprawnie. Za wszystko – Bogu dzięki.

Andrzej Chlipalski

Zdjęcia wykonały pp. Teresa Dutkiewicz i Anna Loch, za co serdecznie dziękujemy

¹ Pisały o tym niektóre gazety, a przede wszystkim szeroko „Kurier Galicyjski” z 29 X–14 XI 2013. W naszym kwartalniku krótko powiadomiliśmy w nrze 4/13.

² Do II wojny Szkoła była szkołą powszechną (niegdysiejsza nazwa: *trywialna*, obecnie używa się w RP nazwy *podstawowa*) i nosiła nr 8.

³ W zabudowaniach Instytutu Teologicznego Archidiecezji Lwowskiej im. św. abpa Józefa Bilczewskiego.

⁴ Ulice Kopernika i Leona Sapiehy są aktualnie nieprzejezdne (także dla tramwajów) ze względu na renowację pod- i naziemną.

⁵ O tej wystawie będziemy pisać osobno.

KOŚCIÓŁEK Z JAZŁOWCZYKA URATOWANY

Nasi miłośnicy historii i kultury utraczonych ziem wschodnich dokonali czegoś bardzo pozytywnego. Oto dowiedzieliśmy się z „Kuriera Galicyjskiego” o przeniesieniu i rekonstrukcji drewnianego kościółka z Jazłowczyka – wsi położonej w powiecie brodzkim, do skansenu założonego we



Kościółek przed rozbiórką

Lwowie na Kajzerwaldzie, a obejmującego dotąd pewną liczbę zebranych tu z różnych okolic drewnianych cerkiewek. Obecną akcją kieruje prof. architekt Romana Cielątkowska z Politechniki Gdańskiej. Przedsięwzięcie jest oczywiście finansowane przez stronę polską – przez Politechnikę Gdańską. Zasługą tamtej strony jest niewątpliwie pozwolenie na to przedsięwzięcie.

Równocześnie – co warto zaznaczyć – w RP przenoszona jest obecnie drewniana cerkiewka spod Krasicyzna (woj. podkarpackie) do Godkowa k. Elbląga, gdzie osiedli po II wojnie grekokatolicy Łemkowie. Ta akcja jest również finansowana przez polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Na rekonstrukcję kościółka we Lwowie sprowadzane są ponadto z RP gonty z twardego drewna osinowego – podobno niedostępne po tamtej stronie.

Oczywiście wyposażenie kościółka z Jazłowczyka nie zachowało się. Sprzęt sakralny będzie więc poszukiwany w innych miejscach, jeśli to będzie możliwe.

Szersze omówienie tematu – patrz „Kurier Galicyjski” nr 15/2013.

WYCIECZKA DO LWOWA I NA WOŁYŃ

W dniach 10–15 maja 2013 roku miłośnicy Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z Krakowa (i nie tylko) wyruszyli kolejny już raz na wycieczkę do Lwowa i na Wołyń. Jednakże obecna nasza wyprawa miała zupełnie odmienny charakter od poprzednich, ponieważ cel jej był inny niż zwykle.

Nie zależało nam jedynie na zwiedzaniu zabytkowych miejsc (to też było), ale ważniejsze dla nas było to, aby właśnie w tym roku udać się na Wołyń. Chodziło nam o przywrócenie historycznej pamięci o kresowej tragedii Polaków na Wołyniu i Ziemiach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Uznaliśmy, że powinniśmy tam być i długo się nie zastanawiając, udaliśmy się w podróż.

Zaczęliśmy oczywiście od Lwowa, ponieważ bez tego ukochanego miasta nie może się odbyć żadna wycieczka. We Lwowie – wiadomo: miłe wspomnienia, nieustanne zwiedzanie dobrze znanych miejsc, odwiedziny znajomych, którzy tam zostali.

Po dwudniowym pobycie we Lwowie ruszamy w kierunku Wołynia. Zaczynamy od Łopatynia. Zwiedzamy kościół, cmentarz legionistów, grób gen. Dwernickiego. Jesteśmy w Beresteczku, Plaszowej (miejsce bitwy 1651), Młynowie (400-letnia rezydencja Chodkiewiczów) i zatrzymujemy się w Dubnie. Tu zwiedzamy zamek i pałac Lubomirskich. Zostajemy na nocleg w hotelu. W następnym dniu przed nami Przebraże. Był to najsilniejszy na Wołyniu ośrodek samoobrony w walce z UPA.

Od tej chwili zmienia się właśnie charakter naszej wycieczki, zmienia się nastrój wśród jej uczestników.

Cmentarz w Przebrażu robi na nas niesamowite wrażenie: rzędy mogił, krzyży, tablic z nazwiskami ofiar. Zapalamy znicze, składamy kwiaty, ustawiamy biało-czerwone chorągiewki, krzyże oplatamy biało-czerwonymi szarfami, modlimy się... (tak robimy na każdym cmentarzu, który odwiedzamy).

Na naszych wycieczkach często zdarzają się różne nieprzewidziane sytuacje, takie

jak np. odnalezienie kogoś z rodziny, czyjeś grobu zupełnie przypadkowo itp. Tym razem też nie obyło się bez niespodzianek. Jeden z uczestników wycieczki nagle się zatrzymał na dłużej. Stał zaskoczony, nie mógł opanować wzruszenia. Otóż na jednej z tablic odczytał imię i nazwisko prawdopodobnie swego wuja. Wiedział o tym, że wuj na zawsze pozostał w tych stronach, ale nie wiedział dokładnie gdzie. I tu nagle ten napis... Zatrzymaliśmy się dłużej w tym miejscu, on złożył biało-czerwone kwiaty przy tablicy, pomodliliśmy się... Później długo jeszcze o tym mówiliśmy.

Dalej jedziemy do Ołyki, gdzie znajduje się kolegiata pw. św. Trójcy oraz zamek Radziwiłłów, a w Klewaniu – zamek Czartoryskich. Szukamy cmentarza w Janowej Dolinie. Jedna z pań z naszej grupy mówi nam, że posiada przedwojenne zdjęcie swojej ciotki, która stoi przy tablicy z napisem Janowa Dolina. A dziś? Las, a w nim groby, groby... Nie ma kościoła ani przykościelnego placu, na którym zostały pogrzebane ofiary zbrodni. Tylko las i mogiły...

Nocujemy w Sarnach i następnego dnia przed nami Porośle – wieś całkowicie wymordowana, obecnie nie istnieje.

Odwiedzanie cmentarzy przeplatamy zwiedzaniem ciekawych miejsc, które są na naszej trasie: Włodzimierzec z pałacem Krasickich, Czartorysk (siedziba rodowa Czartoryskich), dalej – Polski Lasek (Kostiuchówka) z kwaterami legionistów 1915 i 1916 roku. Pod koniec dnia docieramy do Kowla. Tu nocujemy.

Następnego dnia zatrzymujemy się w Zasmakach – też silnym ośrodkiem samoobrony przed UPA – odwiedzamy cmentarz i udajemy się do Kupiczowa – dawnej osady czeskiej. Następnie Rudna – wieś wymordowana w 1943 roku. Po wiosce został tylko krzyż, przed którym znów stoimy w zadumie, bo trudno sobie nawet wyobrazić, że coś takiego mogło się wydarzyć. I ciągle zadajemy sobie pytanie: „Dlaczego?”

Dojeżdżamy do Porycka i znów – mord UPA na Polakach zgromadzonych w ko-



ściele w 1943 roku. Postawiono tam obelisk z nieco dziwnym napisem: „Pamięć, żałoba, jedność”.

W drodze powrotnej odwiedzamy jessz-cze Zimno, gdzie znajduje się 1000-letni prawosławny monastyr żeński, Włodzimierz Wołyński, Belz, Żółkiew i wracamy na nocleg do Lwowa, aby następnego dnia wyjechać do Krakowa.

Jeśli chodzi o samą podróż, to należą się gorące podziękowania naszemu kierowcy, który ze stoickim spokojem i niesamowitym wręcz mistrzostwem pokonywał te uciążliwe trasy, bowiem drogi na Wołyniu są fatalne. Niejednokrotnie musieliśmy zawracać, bo dalej nie dało się jechać. Dzięki temu, że na drogach nie ma praktycznie żadnego ruchu, mogliśmy czasem jechać lewą stroną, kiedy wydawała się mniej wyboista i dziurawa.

A jako ciekawostkę możemy opisać hotel w Sarnach, gdzie rano zastaliśmy łazienki

(na korytarzu) zamknięte na kłódkę i aby się umyć, trzeba było „pani etażowej” zapłacić. Dużo tego było, nie sposób wszystko opisać. Ale to nas nie zraziło. W nagrodę mieliśmy piękną pogodę, chociaż w tym samym czasie w kraju było zimno i padały deszcze.

Jesteśmy bardzo zadowoleni, że byliśmy tam i w takim właśnie czasie, że tyle zobaczyliśmy i doznaliśmy tak głębokich uczuć i wrażeń. To jest zdanie wszystkich uczestników wycieczki, którym jestem wdzięczna za to, że nie potraktowali tego wyjazdu jako kolejną rozrywkę, ale byli odpowiednio przygotowani: mieli ze sobą biało-czerwone kwiaty, chorągiewki, szarfy, znicze i że wśród nas panował odpowiedni nastrój. Warto było to wszystko przeżyć.

Kolejna nasza wyprawa dobiegła końca. Jeszcze tylko słowa pożegnania i oczywiście, jak zwykle, pytania: „Kiedy następny raz? Kiedy jeszcze?”...

ERRATA

W poprzednim numerze (CL 4/13) na s. 1, wśród zdjęć wybitnych Polaków, którzy przeżyli lata powojenne na emigracji i tam działali, znalazł się również Wiktor Budzyński. Właśnie **Wiktor**, a nie *Witold*, jak omyłkowo napisano w tekście przy zdjęciu. Przepraszamy! Dziękujemy też Panu Krzysztofowi Szolginii, który nam na to zwrócił uwagę.

W tym samym numerze (4/13) na II stronie okładki w punkcie 3 przypisów podano mylnie imię wybitnej postaci polskiego oświecenia, reformatora szkolnictwa, poety – **Stanisława** Konarskiego (1700–1773). Natomiast *Szymon* (jak błędnie podano) żył o wiek później, był działaczem rewolucyjnym w pierwszej połowie XIX wieku.

Na II stronie okładki w pkie 3 przypisów omyłkowo opuszczono nazwisko niezwykle ofiarnej i serdecznej Urszuli Kogut, która przez wszystkie lata bierze udział i pomaga w zebraniach i spotkaniach! Wybacz, Urszulko!

Przepraszamy!

W Krakowie i dalej

Nasze lwowskie 25-lecie obchodzone we Wrocławiu

Wrocław, zastępczy Lwów – wszak większość naszych lwowskich i wschodniomałopolskich Rodaków osiedliła się właśnie we Wrocławiu oraz jego bliższych i dalszych okolicach – dlatego więc pozwolłam sobie na to porównanie. To tu 25 lat temu założono Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Uroczystości związane z tą ważną rocznicą rozpoczęły się 21 września 2013 w Filharmonii Wrocławskiej im. Witolda Lutosławskiego wprowadzeniem sztandarów Towarzystwa oraz szkół noszących lwowskie miana, a następnie odśpiewano hymn *W dzień deszczowy i ponury*. Prezes Zarządu Głównego Andrzej Kamiński w ciepłych słowach powitał zaproszonych gości i poprosił ich o zabieranie głosu. Gratulacjom nie było końca. Prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej wręczył Złote Odznaki prezesom Oddziałów z Krakowa, Częstochowy i Gniezna.

Miłym akcentem stało się zaproszenie prof. Stanisława Nicieja, opowiadał jak doszło do jego zakochania w Kresach, czego dowodem m.in. są wydawane kolejne tomy *Kresowej Atlantydy*. W III tomie opisane są Zaleszczyki – piękny kurort Kresów Południowo-Wschodnich. Z opowiadań mego ojca wiem, że na wakacje do Zaleszczyk przyjeżdżały takie osobistości jak Józef Piłsudski, aktorzy Jadwiga Smosarska czy Adolf Dymśza.

Pięknym akcentem uroczystości było odczytanie nazwisk naszych rodaków, którzy odeszli już na wieczną wartę.

W czasie przerwy – uprzyjemnionej małym poczęstunkiem – oglądano wystawę fotograficzną poświęconą działalności Oddziałów Towarzystwa, a także Lwowowi.

Po przerwie była część artystyczna. Wystąpili uczniowie szkół średnich i podstawowych, deklamując, grając i śpiewając piosenki kresowe i lwowskie. Był to wspaniały występ i radość, że następne pokolenia podtrzymują pamięć o Kresach. Występy młodych aktorów nagradzano gromkimi oklaskami.

Wystąpił także duet „Tyligentne Batiary”, Adam Żurawski i Andrzej Jaworski, dedykując jeden z utworów naszej koleżance Urszuli Kogut. Śpiewali piosenki z rozkosznym lwowskim akcentem.

W drugim dniu uroczystości (23 IX) w kościele św. Stanisława odbyła się msza św. koncelebrowana przez ks. kardynała Henryka Gulbinowicza i proboszcza parafii. Msza została odprawiona w intencji wszystkich kresowiaków, koleżanek i kolegów, żyjących i zmarłych. Po mszy św. prezes Andrzej Kamiński podziękował kapłanom i wręczył im pamiątkowy medal wybitny z okazji 25. rocznicy założenia Towarzystwa.

Po uroczystościach kościelnych uczestnicy żegnając się rozjeżdżali się do swoich miast i domów.

Krystyna Palenica,
Kraków – ale rodem z Zaleszczyk



Uczestnicy jubileuszowego zjazdu we Wrocławiu. Zdjęcie zapożyczzone z nr 3a/2013 „Semper fidelis”

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 **Stanisław Dziedzic** wydał już swoją dwudziestą drugą książkę. Iluż to twórców parających się wyłącznie pracą naukową, pisarstwem czy publicystyką może poszczycić się takim dorobkiem? Ten zaś autor znajduje wiedzę, czas i siły pomimo mocno absorbującej działalności kulturalno-organizacyjnej – jako dyrektor Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Urzędzie Miasta Krakowa.

Nowa książka S. Dziedzica to gruby, ładnie wydany tom z pomnikiem prezydenta Dietla na okładce – o nim będzie niżej – a jej tytuł brzmi zachęcająco: **Portrety niepospolitych** (Wydawnictwo „Petrus”, Kraków 2013).

Stanisław Dziedzic zebrał 11 postaci, dla których żywi szczególną admirację. Są to profesorowie, ludzie teatru, sztuki i publicystyki, duchowni – albo tych dyscyplin razem wziętych – postacie zawsze twórcze. I są to nie tylko osoby autorowi współczesne, także z mniej czy bardziej odległej przeszłości.

Jest tam więc troje wybitnych polonistów (Maria Dłuska, Tadeusz Ulewicz i Jan Błoński). Jest czterech duchownych, poczynając od księdza, poety i filozofa Karola Wojtyły, poprzez

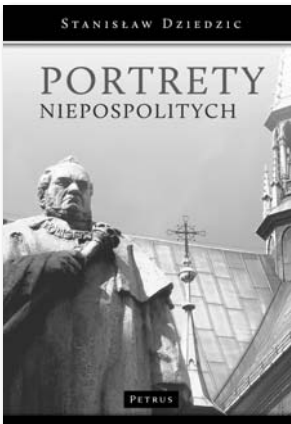
uczonego, arcybiskupa i już świętego Józefa Bilczewskiego, niezwykłego misjonarza Karola Antoniewicza, aż po reformatora studiów i szkolnictwa, poetę Hugona Kołłątaja. Jest jeszcze prezydent Krakowa Józef Dietl, dwóch artystów różnych sztuk – twórca teatralny Mieczysław Kotlarczyk i ma-

larz Włodzimierz Tetmajer, a na koniec świetny dziennikarz Józef Dużyk.

Wśród postaci tych są osoby bardziej lub mniej znane w naszym społeczeństwie, a autor bynajmniej nie przyznaje im wyłączności *krakowskości*. Pewien zamęt natomiast wprowadza autor przedmowy, który jedynie Bilczewskiemu przypisuje związki nie tylko z Krakowem. Otóż nie ma w tym pełnej prawdy – zależy wszak, jak na to spojrzeć i co uważać za najbardziej istotne w życiu i osiągnięciach – pochodzenie, wczesny okres życia czy ten najbardziej owocny? Nie ma wątpliwości, że Bilczewski był związany po połowie – urodzeniem, wychowaniem i studiami z zachodnią Małopolską i Krakowem, a ze Lwowem i wschodnią Małopolską – drugą, twórczą, a więc historycznie ważniejszą połową swego życia.

Pozostałych uważa więc profesor historii na trwale związanych z Krakowem. No a Karol Antoniewicz? Urodzony pod Lwowem w 1807 r., tam studiował prawo i języki, a większość życia spędził we Lwowie i w różnych miejscach Ziemi Lwowskiej i Wołynia, pracował za granicą, a po tragicznym okresie rodzinnym wstąpił do jezuitów w Nowym Sączu. W tamtych stronach przeżył *rabację galicyjską*, potem wracał do sił na Huculszczyźnie, i znowu w 1847 r. osiadł we Lwowie. Po zamknięciu przez władze austriackie klasztorów jezuickich (tzw. *kasacie józefińskiej*) wyjechał na Śląsk, a po wielkim pożarze, jaki dotknął Kraków w 1850 r., znalazł się tam, prowadząc działalność misyjną. Ale już w 1852 r. udał się na zaproszenie arcybiskupa gnieźnieńskiego do Wielkopolski (to zabór pruski) i tam wraz z grupą jezuitów założył klasztor w Obrze, zostając jego przełożonym. Tamże zmarł w 1852 roku.

Również Józef Dietl do Krakowa przybył w 47. roku życia. Przedtem pozostał w rodzinnych stronach w Małopolsce Wschodniej: we Lwowie rozpoczął studia filozoficzne, nie mogąc jednak podjąć wymarzonych studiów medycznych na uniwersytetach galicyjskich, przeniósł się do Wiednia, tam je ukończył i przez lata praktykował. Był doskonałym i twórczym lekarzem i w 1851 r., wykorzystując zaproszenie do Krakowa, osiadł na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tu jako profesor, a potem prezydent miasta spędził w Krakowie lat 27 (żył 74). To był oczywiście zasadniczy, godny okres jego życia.



I jeszcze Maria Dłuska, urodzona w Rosji (1900) w rodzinie polskiej, wychowana po polsku. Nauki rozpoczęła w Warszawie, na studia polonistyczne wybrała Kraków. Po habilitacji w 1935 r. osiadła we Lwowie na Uniwersytecie JK. W latach okupacji pracowała nadal twórczo i równocześnie nauczała na tajnych kompletach. Ekspatriacja w 1944 r. zawiodła ją na KUL, a w 1950 r. została profesorem UJ. Jej główną specjalnością naukową była poetyka i wersologia, ulubionym zaś poetą – Kazimierz Wierzyński*. Jeszcze inne postacie wywodziły się lub spędzały okresy swego życia w różnych stronach Polski. Autor starannie to notuje.

Hugo Kołłątaj, rodem z Wołynia, wspomniany poeta i reformator studiów, studiował w Krakowie i tu działał – i wiele zdziałał – ale nie tylko, także w wielu miejscach szerokiej, lecz podzielonej Rzeczypospolitej. Kiedy w 1803 r. wrócił na Wołyń, odegrał istotną rolę w tworzeniu – wraz z Tadeuszem Czackim – Liceum Krzemienieckiego. Był zawsze tam, gdzie działy się sprawy najważniejsze.

Czytelnika tych refleksji prosimy o wyrozumiałość: w naszym piśmie poświęconym problematyce nie tylko podwawelskiej, chcieliśmy zwrócić uwagę na słowa – nie, nie autora – które doprowadzają opisane postacie (poza jedną) do *krakowskiej nobilitacji*. A przecież to wszyscy byli znakomici Polacy, Polacy w najszerszym rozumieniu tego słowa. Chwała za to autorowi książki.

Poza wymienionym, autor omawia świetnych profesorów i twórców krakowskich, a trzeba zacząć od Karola Wojtyły, jeszcze nie papieża, nawet nie biskupa, ale już piszącego i wiążącego się z teatrem. Ale o Wojtyłę napisano już tak wiele (i nadal będzie się pisać)! I zaraz potem Mieczysław Kotlarczyk, który stworzył niezapomniany Teatr Rapsodyczny, dokąd biegaliśmy w latach powojennych. I profesor Tadeusz Ulewicz – niedawno zmarły – uczony o najwyższej randze w dziedzinie literatury staropolskiej i oświeceniowej. Blisko Ulewicza plasuje się profesor Jan Błoński, historyk i krytyk, zainteresowany polską i światową dramaturgią, a także literaturą i kulturą francuską, którą lansował na łamach *dawnego*, niezapomnianego „Przekroju”. Z nazwiskiem Błońskiego wiąże się jeszcze jeden pamiętany teatr krakowski lat popaździernikowego przełomu – Teatr 38. A z innej dziedziny

podajmy, że Błoński napisał książkę o prekursorze liryki polskiego baroku, Mikołaju Sępie-Szarzyńskim, nam, Czytelnikom CL, szczególnie skądinąd bliskim**.

Wreszcie świetny dziennikarz krakowski, Józef Dużyk. My, zwykli ludzie, pamiętamy jego teksty z „Dziennika Polskiego”, skąd uczyliśmy się wiedzy o Włoszech, ale także o krakowskiej Młodej Polsce, o tradycji jego rodzinnego Krakowa.

Cofając się nieco wstecz, nie można zapomnieć o szeroko omówionym *portrecie* Włodzimierza Tetmajera z bronowickiej legendy *Wesela*, przede wszystkim znakomitego malarza, ale i pisarza, polityka, zainteresowanego w swej twórczości i działalności polską wsią i jej mieszkańcami.

Nie przypadkiem kończymy nazwiskiem Tetmajera. Warto opowiedzieć Czytelnikom, że w 90-lecie śmierci artysty (XII 1923) autor omawianej książki S. Dziedzic został zaproszony do Muzeum Niepodległości w Warszawie do wygłoszenia wspomnienia o owym wybitnym artyście i polityku. Został tam uhonorowany specjalną Nagrodą im. W. Tetmajera.

Namawiamy do przeczytania ciekawej książki Stanisława Dziedzica. Poznaliśmy tam jego preferencje oraz znajomość życia i dzieła tych ludzi, których tak głęboko poznał i nam przedstawił. [AC]

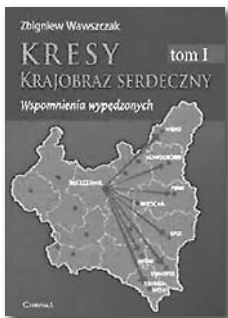


Dyr. Stanisław Dziedzic

* Kazimierz Wierzyński (1894–1969) urodził się w Drohobyczu.

** Mikołaj Sęp-Szarzyński (1550–1581) urodził się pod Lwowem.

📖 **Zbigniew Wawszczak**, znany publicysta i reportażysta zamieszkały w Rzeszowie, w ostatnich latach nie daje swym czytelnikom wytchnienia. Niedawno, bo w 2010 r., ukazał się opasły tom jego tekstów i wywiadów zatytułowany *Tam był nasz dom. Wspomnienia Kresowian* (Wydawnictwo „Carpathia”, Rzeszów 2010), a w połowie minionego roku na księgarskie półki – niestety tylko wybranych księgarń województwa podkarpackiego – trafiło dwutomowe wydanie jego książki **Kresy. Krajobraz serdeczny. Wspomnienia wypędzonych** (Wydawnictwo „Carpathia”,



Rzeszów 2013). Bohaterami dwutomowego dzieła są rozmówcy Z. Wawszczaka, których spotkał na swej twórczej drodze życiowej, począwszy od pierwszych lat po studiach, kiedy to zamieszkał w Rzeszowie jako sublokator u rodziny pochodzącej z Kresów, aż po dzień dzisiejszy, kiedy Kresowian spotyka czy to

w Rzeszowie, czy Horyńcu Zdroju podczas sanatoryjnej kuracji albo za Oceanem, w Stanach Zjednoczonych, gdzie odwiedza mieszkającą tam córkę. Po lekturze tej książki nie mogę wyjść z podziwu, że pokolenie wypędzonych, które także na swych barkach wznosiło z ruin powojenną Polskę, wciąż dzielnie trwa!

Tom pierwszy składa się z sześciu części. Pomieszczono w nim wspomnienia Kresowian, których tragiczny los nie tylko pozabawił rodzinnej ziemi, ale sowiecki okupant zesłał ich z całymi rodzinami na „niehumanitarną ziemię”, na Syberię. Ilu Polaków z tych transportów pozostało tam na wieki, zmarło z głodu, przepracowania, wycieńczenia, na skutek przeróżnych chorób? Tego tak naprawdę nie wie nikt. W części drugiej przeczytamy relacje z Podola i Ziemi Stanisławowskiej. Szkoda, że uwadze autora umknęła niewielka książka Tadeusza Kamińskiego *Tajemnica Czarnego Lasu* (Kraków 2001), będącej swoistym dokumentem poszukiwań miejsca kaźni inteligencji stanisławowskiej. Zbigniew Wawszczak wspomina też na stronach swej książki o zamordowanych w równie bestialski sposób i spoczywających w Czarnym Lesie 2840 stanisławowskich Żydach, których zakwalifikował jako „honorowych obywateli Stanisławowa” (s. 122). Czy to możliwe, by to miasto miało aż tylu honorowych obywateli? Czy nie zaszła tu jakaś pomyłka, lapsus słowny? Bardzo interesujące są opowieści o Ormianach, o rodzinie Krzysztofowiczów, u których ostatnie trzy dni przed wkroczeniem wojsk sowieckich do Polski 17 września 1939 r. spędził Prezydent RP Ignacy Mościcki wraz z towarzyszącymi mu osobami. Osobna część tomu poświęcona jest ratowaniu Żydów przez Polaków, a kolejna ludobójstwu dokonанemu przez OUN–UPA

na Polakach na terenie Wołynia i regionach Małopolski Wschodniej. Osobną część poświęcił autor dobrym kontaktom Polaków i Ukraińców, dzięki ofiarności których wiele osób uszło z życiem ze zgotowanych przez Ukraińców Polakom rzezi.

Tom drugi, złożony z pięciu części, wychodzi też poza obszar Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich. Spotykamy tam relacje Polaków wypędzonych z Wileńszczyzny. Bardzo interesujące są też wspomnienia Polaków z Roztocza i ziemi lubaczowskiej. Jakby coraz mniej pamiętamy, że dramat Polaków zgotowany przez OUN–UPA dotyczył też terenów Roztocza. Z rzadka wspomina się, że Polacy z Lubaczowa uciekali przez nacjonalistami ukraińskimi, zanim z tych terenów wojska rosyjskie wyparły Niemców. Coraz rzadziej wspomina się też dramat rozgrywający się w Bieszczadach, który w końcu rozwiązany został przesiedleniami miejscowej ludności.

Na bez mała tysiącu stron przedstawił Zbigniew Wawszczak losy setek rodzin polskich dotkniętych ekspatriacją, skazanych na śmierć i zapomnienie na dalekiej Syberii. O pamięć o nich dopominają się od lat coraz skuteczniej ci, którym udało się przeżyć, oraz ich potomkowie. Ich głos wzmacniają wyraziście także książki Z. Wawszczaka. Dzięki pasji dziennikarskiej i publicystycznej Wawszczaka, opowiedziane losy Polaków, polskich kresowych rodzin, czyli dzieje Polski na Kresach, pierwotnie utrwalone zostały na taśmie magnetofonowej i wyemitowane w eter przez Rozgłośnię Polskiego Radia w Rzeszowie. Ale – na szczęście – autor nie poprzestał na tym dość ulotnym dziele... Zebrał i opracował, opatrując współczesnymi komentarzami, głosy – często już nieżyjących – świadków tamtych tragicznych dni. Interesujący tekst opatrzył bogatą szatą fotograficzną. Wszystko po to, by czytelnik chłonął książkę, nie odczuwając upływającego czasu. Książkę bowiem czyta się „jednym tchem”! Kiedy czytelnik się na chwilę zatrzyma, by zastanowić się nad tym, co czyta, nie może wyjść z podziwu, co warto wyraziście podkreślić, jak wspinali byli to – i nadal są – ludzie, którzy potrafili pokonać traumę tamtych czasów, by – w nowym miejscu, nowej Polsce – dochodzić do ważnych funkcji i zaszczytów. I choć mieszkali w tej nowej Polsce, między Nysą Łużycką i Odrą

a Sanem i Bugiem, to sercem zawsze byli i są na Kresach.

Książkę Zbigniewa Wawszczaka można kupić tylko na terenie Podkarpacia w sieci księgarskiej Księgarnia Nowa lub zamawiając telefonicznie u autora (tel. 178 542 897)

Janusz M. Paluch

📖 W numerach 1 i 3 CL z ub. roku omawialiśmy dwa pierwsze tomy **Kresowej Atlantydy Stanisława S. Nicieja**, teraz przyszła kolej na trzeci, obszerniejszy i jeszcze bogatszy od poprzednich (ma prawie 270 stron tekstu i mnóstwo starych ilustracji). Tom ten zawiera cztery nasze wschodniomałopolskie miejscowości i... Abację nad Adriatykiem – o tym na końcu.

Te nasze miejscowości to najpierw dwa słynne miasteczka-letniska: Zaleszczyki nad Dniestrem oraz Kosów nad Rybnicą, dopływem Prutu. Kolejne dwa to miasta znane z innych historii: Chodorów i Kałusz.

Najwięcej miejsca poświęca autor Zaleszczykom. Jakżeby inaczej? Bo przecież niezwykle położenie w najcieplejszym zakątku Polski, w dodatku nieprawdopodobnie okolone malowniczą pętlą Dniestru, punkt graniczny z Rumunią z dwoma ogromnymi mostami, kurort zwany *podolską Rivierą* i miejsce wypoczynku wielkich ludzi z Piłsudskim na czele, słynne sadownictwo i winiarstwo, a w końcu tragiczna legenda „szosy zaleszczyckiej”.

Zaleszczyki od XV wieku były związane z rodzinami Buczackich, Lubomirskich, Poniatowskich. W XIX i XX w. właścicielami byli Brunicy i Turnauowie. W tym okresie awansowały do tytułu *polskiego Meranu* i stały się letniskiem dla wielu znanych rodzin i postaci. Przyjeżdżali tu Jan Kasprowicz, Maria Dąbrowska, Wacław Sieroszewski, muzycy, aktorzy i dziesiątki innych wybitnych osób, był tu raz Marszałek Piłsudski. To wszystko runęło we wrześniu 1939 roku, razem z dwoma mostami...

Kosów – stolica huculskiego folkloru, ale także słynny zakład przyrodolecznicy dra Apolinarego Tarnawskiego (oczywiście lata międzywojenne). I tu znakomici goście: Juliusz Osterwa, Kazimierz Sichulski, który tu wiele namalował, oczywiście Ferdynand Antoni Ossendowski, autor książki w serii *Cuda Polski* o Huculszczyźnie, Adam Didur, a nawet Ignacy Daszyński...

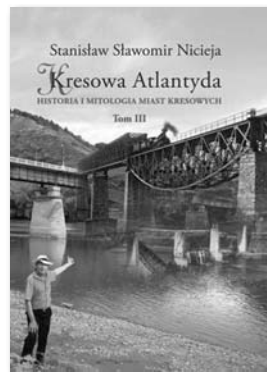
Jednak najważniejsza była w Kosowie ceramika (może nawet jest, bo dziś chętnie ją naśladowają). Było na pewno sporo huculskich artystów ceramików, ale mówili polscy, a wśród nich najlepszy – Aleksander Bachmiński, poniekąd „klasyk” huculskiej ceramiki. „Naukowcy” ukraińscy przerabiają tych Polaków na Ukraińców – z Bachmińskiego robią *Bachmatiuka*, z Baranowskiego *Baraniuka*. Żaden z tych artystów takich przechrzczeń nie używał, podpisali się tylko po polsku.

Z Chodorowem wiąże się przede wszystkim słynna cukrownia, własność baronów de Vaux (spolonizowanych), związanych z rodami Lubomirskich, Lanckorońskich i jeszcze paru innych, bo ten tutejszy przemysł był złotą żyłą.

Ale to nie wszystko. W Chodorowie urodził się prof. Oswald Balzer, który uratował dla nas Morskie Oko. Pod Chodorowem urodził się Artur Grottger. Wyszło stąd wielu ludzi, którzy odznaczyli się w naszej kulturze, nauce, sztuce, życiu społecznym. Stąd pochodził niezapomniany doktor Jerzy Masior, lekarz, ale i wspaniały wychowawca młodzieży, który w powojennym Nowym Sączu wniósł tamtejszej młodzieży umiłowanie Lwowa, z jego polską historią i kulturą.

Kałusz, *miasto dzwonów*, jest może trochę mniej znany ogółowi w kraju, bo jego chluba – słynna odlewnia dzwonów ludwarskiej rodziny Felczyńskich – musiała opuścić swoje gniazdo, istniejące tam od 1808 roku, i przenieść się do Przemyśla, gdzie działała jego filia. Niedawno powstały dwie następne, w Gliwicach, różnych gałęzi rodu Felczyńskich.

Kałusz to nie tylko dzwony – zastąpiły także ze złóż soli potasowych, które były drugim – po ropie naftowej – bogactwem podziemnym tego regionu, a zakłady, gdzie przetwarzano urobek kopalń, były jednym z najważniejszych przedsiębiorstw przemysłowych II Rzeczypospolitej. Sole z Kałusza służyły polskiemu rolnictwu w formie nawozów sztucznych, a zarazem zatrudniały wielkie liczby pracowników.



Z Kałusza pochodziło wiele wybitnych postaci w historii Polski – przede wszystkim Franciszek Smolka, jeden z czołowych polskich polityków doby porozbiorowej w monarchii austro-węgierskiej. Z okolic Kałusza wywodziła się znana rodzina Jordan-Rozwadowskich, z której wyszedł m.in. słynny generał Tadeusz Rozwadowski, zasłużony w obronie Lwowa 1918 r. i zwycięzca bolszewików w *bitwie warszawskiej* w 1920 r. W Kałuszu urodził się Jonasz Stern, malarz, profesor krakowskiej ASP, którego przejścia w czasie holokaustu we Lwowie zostały już wielokrotnie opisane. Innym kałuszaninem był znakomity okulista z lwowskiej szkoły prof. Tadeusz Krawawicz.

I na koniec zapowiedziana *Abacja*. Dlaczego znalazła się w tej książce? Ten kurort, dziś w Chorwacji (Opatija), wcześniej w *naszej wspólnej monarchii wiedeńskiej*, położony nad ciepłym morzem Adriatyckim, był chętnie uczęszczany w miesiącach jesienno-zimowych przez wschodniomałopolskich Polaków – arystokrację i ziemiaństwo, zasobnych przedstawicieli inteligencji, polityków, pisarzy. Widywano tam nawet lwowskich biskupów. W doskonałych warunkach klimatycznych odbywano kurację lub aktywny wypoczynek turystyczno-towarzystki i fizyczny.

Czekamy niecierpliwie na IV tom *Kresowej Atlantyd*!

📖 Treść książeczki, którą nadesłał nam z Wrocławia pan Pilecki, jest z kilku względów niezwykła. Tytuł brzmi **Wyluskane z pamięci**, z podtytułem *Przeżycia wojenne Jerzego Marii Pileckiego* (Wrocław 2013). Pierwszym objawem owej niezwykłości jest niepewność – ilu ma autorów? Są to bowiem wspomnienia, ale pisane w trzeciej osobie.

Dowiadujemy się, że *Pan Jurek* zaczął kiedyś spisywać swoje przeżycia, ale różne przeszkody fizyczne (o których pisze zadziwiająco szczerze) nie pozwoliły na kontynuację. Wtedy wzięła to w swoje ręce Zona Hala – stąd forma trzeciej osoby. W końcu tekst skorygowała i opracowała profesjonalnie Synowa Ewa.

Koniec końców za autorów uznajemy pp. **Jerzego Marię i Halinę Pileckich**.

Druga niezwykłość to pytanie, czy Pan Jerzy to drohobyczanin, lwowianin, a może inowrocławianin lub stanisławowianin? Kim się czuje? Wyjaśnijmy: rodzice pochodzili ze Stanisławowa, ale ojciec, bankowiec, zmieniał siedmiokrotnie miejsce zamieszkania (tak bywało po I wojnie: b. Galicja musiała w wielu dziedzinach obsłużyć fachowcami resztę Polski). Był więc Inowrocław, gdzie urodził się Jerzy w 1923 roku, potem było 6 lat we Lwowie, z którym – jak mówi Pan Jerzy – związał się emocjonalnie najsilniej. Ale w końcu były dwa (!) lata w Drohobyczu – od 1938 do 1940, kiedy – siedemnastoletek – został aresztowany i wywieziony na Sybir. Powrócił na łono odmienionej ojczyzny (do Wałbrzycha) po sześciu latach.

Opis drogi Jurka Pileckiego z domu poprzez więzienia w Drohobyczu i Charkowie, a dalej przez dłuższe i krótsze miejsca przymusowej pracy w Workucie – i po krótkim okresie nadziei w związku z wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej – w Taszkencie, Ferganie – do kopalń w Sel-Rocho na pograniczu Kirgizji i Tadżykistanu, to historia pełna dramatycznych wydarzeń i niewyobrażalnych, szczerzotowych sytuacji, ale i obserwacji.

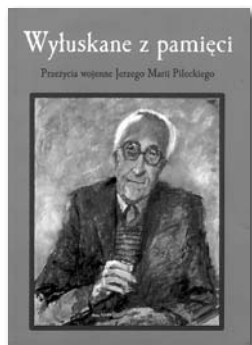
Powrót nastąpił w maju 1946 r. Jerzy został zrazu skierowany do pracy w kopalni w Wałbrzychu, pod ziemią. Wkrótce jednak awansował na laboranta. Potem ktoś mu dopomógł w dostaniu się do popołudniowego gimnazjum, zdał maturę.

W 1948 r. udało się przeniesienie do Wrocławia i wstęp na studia chemiczne na Politechnice. W 1950 r. ożenił się. Życie popłynęło, małżeństwo dorobiło się dwóch synów, czworga wnucząt, trojga prawnucząt...

* * *

Po tym wszystkim powstaje całkiem uzasadnione pytanie: skąd wziął się u Pana Jerzego tak mocny związek z Drohobyczem, z drohobycko-borysławskim środowiskiem, z historią Zagłębia Naftowego – skoro jego pobyt w tamtych stronach był niedługi i tak dramatycznie zakończony? I tak dawny!

Tym szczęśliwym bodźcem stało się poszukiwanie dokumentów rodzinnych, zachowanych w Drohobyczu przez czas wojny. Wszedł wtedy w tamtejsze ekspatrianckie środowisko drohobyczan, przyswoił sobie jego dzieje i tradycje, w końcu związał się



z nim bez reszty. Wstąpił do Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej (został nawet wiceprezesem Zarządu Głównego), ale przede wszystkim podjął się redagowania czasopisma „Ziemia Drohobycka”.

I tak było przez szereg lat, przyszedł jednak czas na odpoczynek. Redakcji pisma pod nieco innym tytułem: „Biuletyn Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej” (pisaliśmy o nim) podjął się p. Jan Rybotycki, po paru latach p. Marian Szczepanowicz, który jednak niespodziewanie w sile wieku zmarł. Kto będzie następcą?


Na koniec porusza Pan Jerzy rzecz bardzo ważną. Pisze: *Okazało się, że podjęcie zbyt wielu tematów „zemściło się” teraz dużą liczbą niedokończonych prac, których w dodatku nie ma komu przekazać. To teraz moje wielkie zmartwienie. Istnieje również problem dalszego losu zbioru nieraz unikatowych materiałów źródłowych. To około 25 metrów bieżących dokumentacji, ponad 30 tys. kart osobowych, biblioteka drohobyczianów, ponad 250 widokówek sprzed 1939 r. i inne.*

Otóż i my mamy podobne problemy. Ciągłe oczekujemy na powstanie Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Sprawa jego powołania ciągle jest niejasna – bardzo liczyliśmy na Muzeum Niepodległości w Warszawie, gdzie przez lata dyktował dr Andrzej Stawarz, i gdzie przed kilkunastu laty powstała „Kolekcja Leopoldis” (gromadzi materiały z całych Ziemi Wschodnich). W tej chwili nie ma tam dobrej atmosfery, ale przecież nie ma nic stałego. Coraz więcej prominentnych osób, zwłaszcza po ostatnich obchodach 70-lecia Ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, głośno mówi o potrzebie takiej naukowej instytucji, przecież wcale nie rewizjonistycznej.

Sądźmy więc, że właśnie do „Kolekcji Leopoldis” powinno się włączyć skarby Pana Jerzego Pileckiego? Proponuję rozważenie sprawy przez ogólnopolskie środowisko drohobyckie.

A może do Ossolineum we Wrocławiu?

Andrzej Chlipalski

 Z wdzięcznością odebraliśmy przysłaną nam przez p. **Jana Rybotyckiego** (rodem ze Schodnicy, zamieszkałego we Wrocławiu) książkę pt. **Schodnica – Majdan – Urycz**

w zachowanych źródłach i okrucach wspomnień. Jest to praca zbiorowa pod redakcją Pana Jana, którego w sposób szczególny pamiętamy m.in. z opracowania dla nas haseł drohobycko-borysławsko-schodnickich. Otrzymana obecnie książka ma duży format (A4), ponad 320 stron i bardzo dużo zdjęć starych i nowych. Wydawcą jest Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej, Wrocław 2013).

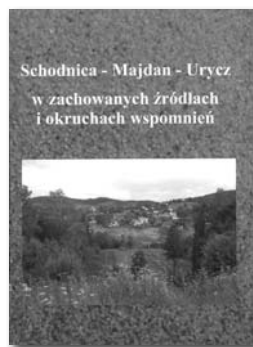
Kolejne rozdziały, omawiające miejscowości i ich dawnych mieszkańców – całe rodziny i wybrane postacie, zaczynają się od opisów historycznych. To bardzo ciekawe, bo przecież nie mieliśmy dotąd szansy poznania ich, może poza krótkimi wzmiankami w przedwojennych przewodnikach – ale ktoś je dziś posiada?

Opisywane miejscowości leżą w woj. stanisławowskim, na północnych obrzeżach Bieszczad Wschodnich – dziś niestety od przelęczy Użockiej odciętych od teraźniejszej Polski. Ścisłejsze określenie położenia to Beskidy Skolskie w ramach łańcucha bieszczadzkiego.

Schodnica leży w kotlinie na wysokości średnio 545 m npm., a otaczające ją góry dochodzą prawie do 900 m. Geologicznie dominują utwory fliszowe (osady morskie), a w tym regionie występują złoża ropy naftowej i gazu ziemnego oraz źródła wód mineralnych – przykładem nieodległy Truskawiec.

Historycznie jest to Ziemia Przemyska, która w swej pd.-wschodniej części obejmuje Drohobycz i Borysław, Sambor, Stryj, Turkę, a główne rzeki to Dniestr i jego dopływ – Stryj. Administracyjnie to wszystko południowe krańce województwa lwowskiego. Autor dość szczegółowo opisuje historię regionu, do którego należą omawiane miejscowości, poczynając od X wieku – o Lędzianach, o najeździe ruskim w 981 roku – te sprawy są nam już znane.

O Schodnicy i całym rejonie autor podaje ogromną ilość nazw i wiadomości (w tym głównie o zamku Tustar), informuje że do końca XIX w. była nędzną wsią bojkowską. Jej nazwa staje się popularna w okresie



powstania tu górnictwa naftowego – w latach 1870. Pierwszymi właścicielami byli Austriacy, potem powstałe tu kopalnictwo i przemysł związały się ze znanymi nazwiskami Szczepanowskiego, Odrzywolskiego, Wolskich. W latach 1895–98 w Schodnicy i Uryczu wydobywanie ropy było wyższe niż w owym czasie w Borystawiu i Tustanowicach. Historię Schodnicy doprowadza autor do II wojny światowej.

Całkiem innego rodzaju miejscowością jest Majdan, tak pod względem położenia i krajobrazu, jak i geologii i gospodarki. Leży wcale nie wyżej niż Schodnica, ale o ile ta układa się w dolinie, o tyle Majdan robi wrażenie wysokogórskie, bo otaczające go góry są wyższe (ok. 1000 m npm.) i bliższe. O rozwoju Majdanu, znanego już w połowie XVII w., zdecydowała geologia – nie ropa, lecz rudy żelaza. Osada powstała w tym miejscu na przełomie XVIII/XIX wieku, ludność zajmowała się wydobywaniem rudy i wytopu żelaza w *hamerniach* (kuźnicach). Zajmowano się też pozyskiwaniem drewna z bogatych lasów na górskich stokach, co z czasem zdominowało tutejszą gospodarkę. W okolicznych miejscowościach powstały liczne tartaki.

Majdan stał się w 20-lecie międzywojennym atrakcyjną miejscowością letniskową i turystyczną. Przed samą II wojną zbudowano piękny mурowany kościół (był tam wcześniej drewniany, rozebrany po wojnie), który sowieci przebudowali na ośrodek turystyczny. Obecnie stoi pusty i niszczeje.

Wiele jeszcze spraw majdańskich opisuje Jan Rybotycki. Warto dodać, że z Majdanu pochodzi wielu znanych ludzi, m.in. rodzina Bogusława Wołoszańskiego, historyka i autora książek. W pobliskim Podbużu urodził się Józef Dietl, wielki prezydent Krakowa. Dość rozrodzona był w tych okolicach rodzina Rybotyckich, a autor urodził się w Schodnicy.

Po opisach tytułowych miejscowości występują wspomnienia ludzi ze Schodnicy, Urycza oraz Majdanu, oparte na relacjach osób i dokumentach, bogato ilustrowane. Opracował je również Jan Rybotycki, za co należy mu się uznanie. (AC)

📖 Jest to książka niezwykła nie tylko z uwagi na tematykę. Również dlatego, że jej Autorka w lipcu 2013 ukończyła 98 lat!

Tak więc pamięć fenomenalna, a decyzja spisania własnych wspomnień obozowych w tak zaawansowanym wieku ma przyczynę szczególną...

Ta książka to *Drogi mojego życia. Wspomnienia skrzypaczki z Birkenau*, opowiedziane przez lwowiankę Helenę Dunicz Niwińską, a spisane przez Marię Szewczyk i wydane przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2013.

Ostatecznym bodźcem (...) stały się publikowane co jakiś czas szokujące wypowiedzi różnych ludzi, iż w niemieckim obozie Auschwitz-Birkenau i w innych nie mordowano na skalę masową ludzi w komorach gazowych i w krematoriach. Pragnę (...) uświadomić następnym pokoleniom, jak niebezpieczne mogą być niektóre (...) ideologie, które w miarę rozpowszechniania się (...) przeradzają się w systemy (...) nienawistne, takie jak nazizm, rasizm czy komunizm. W zasadzie nic dodać do słów autorki, cytowanych z przedmowy książki.

Publikacja ma ogromną siłę przekonywania, zawarte w niej szczegóły okrutnej obozowej rzeczywistości, a także wnikliwe, mądre refleksje osoby tak bardzo doświadczonej powodują, że lektura książki staje się ważnym osobistym przeżyciem czytelnika. Dodatkowym walorem książki jest zamieszczony na końcu bardzo cenny wykaz członkiń kapeli kobiecej w Birkenau (X 1943 – jesień 1944), zawierający imię, nazwisko, narodowość, numer obozowy, od kiedy do kiedy oraz losy obozowe względnie poobozowe. Wykaz liczy 56 nazwisk.

19 stycznia 1943 roku 28-letnia Helena Dunicz Niwińska, skrzypaczka (ukończyła Konserwatorium PTM we Lwowie), wraz z matką zostały aresztowane przez gestapo we własnym mieszkaniu przy placu Mariacim we Lwowie, doprowadzone do więzienia przy ulicy Łąckiego, gdzie przebywały obie, ale od początku rozdzielone, przez dziewięć miesięcy. Powodem aresztowania było niewątpliwie zameldowanie w ich mieszkaniu, o czym żadna z nich nie wiedziała, dwóch Polaków związanych z konspiracją. Byli oni,



jak się okazało, dość wysokimi rangą członkami Armii Krajowej. 30 września załadowano je do wagonu bydłowego w gronie 80 osób. Podróż trwała prawie trzy doby i zakończyła się w Oświęcimiu. Po osadzeniu w bloku 25 Helena została przyprowadzona przed oblicze znanej skrzypaczki Almy Rose, zasymilowanej Żydówki z Wiednia. Rozpoczęła się próba profesjonalnej gry na skrzypcach, gry o zmianę obozowego losu, a może wręcz gry o życie. Zostaje przyjęta do obozowej orkiestry, zmuszona do rozstania z matką i przeniesiona do nowego bloku. Tu zaprzyjaźnia się z grającą już dłużej w orkiestrze polską skrzypaczką, Jadwigą Zatorską.

Rozdział książki *Frau Alma, dyrygentka-kapo*, poświęcony Almie Rose, zawiera również opis pracy całego zespołu. Postać Almy Rose autorka wspomnień przedstawia tak: ... *udało mi się ją zapamiętać. Moją i kilkudziesięciu innych członkiń obozowej orkiestry wybawicielkę od niechaybnej lagrowej śmierci. Nam się udało – jej, niestety, nie.* Puenta tego rozdziału mieści się w cytacie: ... *jakże tu grać muzykę lekką na tle buchających dzień i noc płomieni i czarnych dymów z kominów krematoryjnych?*

3 grudnia 1943 r. zmarła matka autorki, a ona sama także zachorowała. *Liczba chorych więźniarek sięgała na jednym bloku 700–800 osób, a każdej nocy umierało ich około setki...* Autorce się udało. Wróciła do kapeli.

Wśród dziewczyn kapeli *większość stanowią Żydówki deportowane z Francji, Belgii, Niemiec, Czech, Węgier, Grecji, Holandii oraz kilka z Polski (...). Małą grupę stanowiły obywatelki Związku Radzieckiego. Reszta członkiń była Polkami. (...). Stosunki wśród dziewczyn z kapeli polaryzowały się w dwóch sferach naszego obozowego życia, wywołujących napięcia. Pierwsza to bariera językowa, druga wynikała z faktu, że więźniarki nie-Żydówki mogły otrzymywać paczki żywnościowe i listy. Fundamentem antagonizmu nie był antysemityzm, lecz najokrutniejsza siła głodu, z którym w niemieckim obozie przegrywał ideał solidarności i człowieczeństwa. (...) Antagonizmy narodowościowe i rasowe nie występowały.*

Niemalże cały, stosunkowo długi rozdział poświęcony jest współwięźniarkom, towarzyszkom obozowej niedoli różnych na-

rodowości. Wspomnienia o tych młodych dziewczynach pełne są ciepła, serdeczności, wręcz miłości autorki. Wyróżniają się postaci najserdeczniejszych obozowych przyjaciółek, Polek: Jadwigi Zatorskiej (Wisi), Zosi Cykowiak (20-latka) i Marysi Moś, a także bardzo przyjaznych sztabowych – Funi Baruch, Irki Walaszczyk, a szczególnie Marylki Langenfeld.

4 kwietnia 1944 r. zmarła w obozie dyrygentka kapeli Alma Rose. *Jak trudno było pogodzić się z faktem, że nasza dyrygentka, wymagająca, surowa, najczęściej zamknięta w sobie (...) odeszła. Jej siła i postawa często niejednej z nas pozwalała żywić nadzieję, że może uda się przeżyć.*

31 października 1944 r. wszystkie żydowskie członkinie orkiestry zostały wyprowadzone przez esesmanów z dotychczasowego bloku. Wyglądało to dla aryjskich orkiestrantek niezwykle groźnie.

Na szczęście okazało się, że zostały tylko dołączone do transportu Żydów udającego się do obozu w Bergen-Belsen. Tam przeżyły i doczekały się wyzwolenia przez Amerykanów w marcu 1945 roku.

Frauenkapelle w Birkenau przestała istnieć. W połowie grudnia 1944 pozostałą resztę kapeli (już także bez Rosjanek) przeniesiono do Auschwitz i osadzono w barakach z więźniarkami niemieckimi. Pędzono je do pracy w charakterze siły pociągowej.

18 stycznia 1945 o zmroku więźniarki i więźniowie w kilkusetosobowych kolumnach wyruszyli w swą długą, dla wielu ostatnią drogę... *Trupów na poboczach drogi było coraz więcej, ale trzeba było iść dalej.* Po 63 kilometrach tego śmiertelnego marszu bohaterki opowieści znalazły się w Wodzisławiu Śląskim. Potem węglarkami po dwóch dniach dotarły do Ravensbrück. gdzie warunki obozowe były straszne. A następnie po całonocnej jeździe pociągiem i kolejnym marszu grupa dotarła do obozu Neustadt-Glewe. Więźniarki upchano w barakach przepelnionych do granic możliwości. W obozie dochodziło do dantejskich scen z powodu głodu.

Pewnego dnia, kiedy w obozie panowała wyjątkowa cisza, do zamkniętych więźniarek dotarła niewiarygodna wiadomość: Nie ma strażników! Tłum kobiet zaczął szturmować magazyny z żywnością. *Zwiastunami wolności stali się dwaj amerykańscy żołnierze (...),*

którzy 2 maja 1945 roku wjechali jeepem na teren obozu Neustadt-Glewe.

Powodowane dojmującym głodem bohaterki tej opowieści w poszukiwaniu jedzenia udały się do pobliskiego, opuszczonego przez Niemców osiedla. Niestety, nie znalazły nic prócz znikomej ilości ziemniaków, a w drodze powrotnej martwego konia. Jego mięso wraz z ziemniakami posłużyło za wspaniałą, pierwszą gotowaną kolację!

Po dwóch, trzech dniach pobytu w obozie w *siódmkę*: *Janka Kalicińska, Janka Sosnowska, Janka Palmowska, Marylka Langenfeld, Irka Walaszczyk, Wisia Zatorska i ja wyruszyliśmy w drogę do Polski. Natomiast zdobyczne „skarby” podróżniczek znalazły się na wózku ciągniętym przez kobyłkę – prezent od lwana, rosyjskiego żołnierza, o dziwo życzliwego i kulturalnego. Jednakże największym problemem naszej „siódmki” było, jak skutecznie zabezpieczyć się w czasie podróży przed ewentualnymi nocnymi wizytami sowieckich „zwycięzców”.*

W końcu podróżniczki dotarły do dawnego przejścia granicznego w dzisiejszym Krzyżu Wielkopolskim, skąd towarowym pociągiem, w koszmarnym tłoku, dojechały do Poznania. Stąd autorka wspomnień wraz z dwiema przyjaciółkami udała się pociągiem, znów potwornie przepełnionym, do Krakowa.

* * *

Helena Dunic Niwińska, lwowianka, kobieta zupełnie samotna, którą wojna pozabawiła wszystkich najbliższych, a także ukochanego miasta, zamieszkała u rodziny swojej serdecznej przyjaciółki obozowej, Jadwigi (Wisi) Zatorskiej, z którą razem powróciła do wojennej odysei.

Dzięki niezwyklej życzliwości ówczesnego dyrektora Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, Tadeusza Ochlewskiego, z miejsca dostała pracę w krakowskim PWM. Pracowała tam 30 lat, aż do emerytury w 1975 roku, kończąc zatrudnienie na stanowisku zastępcy kierownika redakcji wydawnictw dla szkolnictwa muzycznego.

Wkrótce nawiązała kontakty z niektórymi członkiniami kapeli z Birkenau, Żydówkami mieszkającymi w Niemczech, Izraelu, czy też w Anglii (Anita Laser z Londynu, z którą kontakt trwa do tej pory).

W 2004 roku podczas adwentowych rekolekcji w Centrum Dialogu i Modlitwy w Oświęcimiu poznała mieszkankę tego mia-

sta, nauczycielkę historii, Marię Szewczyk, z którą przez dwa lata spisywały wspomnienia „skrzypaczki z Birkenau”, i mimo dużej różnicy wieku – serdecznie się zaprzyjaźniły. Wspólnie też dwukrotnie odwiedziły ukochany, niezapomniany Lwów.

Wertując wydawnictwa

➔ W „Rzeczpospolitej” z 20–21 VII ’13 znalazła się rozmowa E. Olczyk z b. ministrem Kazimierzem Ujazdowskim pt. *Rośnie możliwość historyczna*. Poruszono kilka tematów, głównie mieszczących się w problematyce Ziemi Wschodnich, ale także zachodnich.

Okazuje się, że połowa Polaków nie wie, kto był sprawcą **rzezi na Wołyniu**, a ta po dziś dzień jest nieobecna w programach edukacyjnych. Obecne władze upierają się przy pojęciu czystki etnicznej, nie podkreślając, że było to ludobójstwo, usprawiedliwiając obojętność ze strony ukraińskiej, a to – jak twierdzi Ujazdowski – świadczy o uprawianiu polityki łatwej. Nawet część ukraińskich polityków uważała, że w uchwale polskiego Sejmu powinno się znaleźć słowo ludobójstwo.

Kolejnym tematem rozmowy jest **Muzeum Kresów**. Ujazdowski stwierdza, że trudno zrozumieć kulturę i historię Polski bez Kresów – dorobek stworzony na tych ziemiach nie może ulec zapomnieniu. Powstaje pytanie, gdzie powinno powstać takie muzeum – w Krakowie, gdzie podjęto pewne poważne prace merytoryczne (? – red.), czy we Wrocławiu, gdzie znalazło się najwięcej ekspatriantów.

Mowa też o Muzeum Ziemi Zachodnich, jednak trzeba by tam odwołać się do niemieckich osiągnięć na tych ziemiach, lewica zaś chciałaby eksponować zasługi PRL i jej komunistycznych przywódców (Gierek, Jaruzelski).

Patrz także w CL 4/2013 na s. 22: *Instytut badawczy lepszy od muzeum*.

➔ W „Rzeczpospolitej” z 13–14 VII ’12 przeczytaliśmy artykuł T. Krzyżaka, zatytułowany *Polacy w kolejce do świętości*. Dowiadujemy się, że jest takich około 500, z różnych epok naszych dziejów i z różnych stron dzisiejszego kraju. Chodzi oczywiście

o postaci, które oczekują zarówno beatyfikacji, jak i kanonizacji. Bywa, że czeka się na to paręset lat – przykładem był dziejopis Wincenty Kadłubek, beatyfikowany przed prawie 250 laty.

Z czasów współczesnych na beatyfikację oczekuje kardynał Stefan Wyszyński i biskup Jan Pietraszko z Krakowa. Z Krakowa typuje się również Jerzego Ciesielskiego, bliskiego księdzu, potem biskupowi Karolowi Wojtyła, jednak za życia Jana Pawła II nie doszło do beatyfikacji Jerzego, który zginął w 1970 r. wraz z dwójkiem swoich dzieci w tonącym statku na Nilu. Zwraca uwagę, że z Krakowa pochodzi szereg osób znanych Karolowi Wojtyła.

O tym wszystkich godnych postaciach słyszymy w kościołach, czytamy w prasie nie tylko katolickiej. Poza nielicznymi przypadkami na próżno jednak szukamy nazwisk, życiorysów i dokonań Polaków godnych zaliczenia w poczet błogosławionych i świętych – pochodzących i żyjących na Ziemiach Wschodnich – pomijamy tu oczywiście dwóch Świętych lwowskich kanonizowanych przed kilkoma laty – abpa Bilczewskiego i ks. Gorazdowskiego. Jednak nie słyszymy o męczennikach z czasu II wojny, zabijanych przez okupantów, zsyłanych na *nieludzką ziemię* oraz ofiar ukraińskiego ludobójstwa, o bohaterskich kapłanach. Przykładem niech będzie ks. Stanisław Szczepankiewicz z Iłrowicy, którego historia – pióra Jana Białowąsa – znalazła się w CL 2/13 oraz została rozesłana do kilkudziesięciu biskupów polskich. Takich świętych kapłanów było na pewno niemało, a także – wśród stu tysięcy bestialsko zamordowanych – wielu zwykłych, prostych ludzi.

Pamiętamy o dwóch braciach Fedorowiczach, Tadeuszu i Aleksandrze, którzy zmarli w opinii świętości. A biskup Jan Cieński ze Łęczowa?

Może jednak coś drgnęło? Ostatnio zaśłyszeliśmy, że biskup w Drohiczyńce powołał postulatora dla procesu beatyfikacyjnego ks. Szczepankiewicza.

Czekamy na dalsze, poczekujące wiadomości.

➔ Następny, arcyciekawy numer „Kuriera Galicyjskiego” – 20/2013. Jako szczególnie ważny traktujemy tekst M. Piekarskiego (zwykle pisze o muzyce) pt. *Szkoła nr 10 we*

Lwowie odzyskała imię św. Marii Magdaleny. Skorzystaliśmy wiele z tego artykułu, pisząc relację z naszego wyjazdu do Lwowa na uroczystość w Szkole dnia 31 października – patrz s. 44–46 tego numeru CL.

Bardzo ciekawy – jak zwykle – artykuł napisała Beata Kost, dziś już zastępczyni redaktora naczelnego „Kuriera” (obok Marii Baszy). Ucieszą się nasi stanisławowscy expatrianci, bo artykuł opowiada o *Stanisławowianach w polskim kinie*. A było ich niemało: reżyser Jerzy Kawalerowicz, kompozytor Roman Palester (pisał muzykę filmową), aktorki Barbara Ludwiżanka (córka lwowskiego śpiewaka) i Anna Seniuk, aktorzy Wojciech Duryasz, Zenon Wiktorczyk (zarazem konferansjer) i Feliks Falk (zarazem reżyser, scenarzysta), a wreszcie Zbyszek Cybulski, urodzony w majątku koło Śniatyna. Jego tragiczna śmierć nastąpiła przed 47 laty, miał wtedy 40 lat.

Kolejny artykuł traktuje o wystawie w dawnej galerii B. Orzechowicza (naprzeciwko Ossolineum) – malarzy Stefanowiczów: Antoniego (1858–1929) i Kajetana (1886–1920), autor J. Smirnow.

➔ „Kurier Galicyjski” w każdym niemal numerze zamieszcza artykuły o postaciach polskiej kultury i historii, związanych z Małopolską Wschodnią, ale i południowymi ziemiami I Rzeczypospolitej. I tak ostatnio czytaliśmy:

- 18/2013: o twórczości Walerego Łozińskiego (1837–1861), autor S. Gowin
- 18/2013: życiorys Michała Czajkowskiego – Sadyka Paszy (1804–1886), autorka I. Boruszkowska
- 20/2013: życiorys poety Bohdana Zaleskiego (1802–1886), autorka I. Boruszkowska
- 22/2013: o arcybiskupie lwowskim Bolesławie Twardowskim (1864–1944), autor G. Chajko

Drugi cykl tematyczny w „Kurierze Galicyjskim” odnosi się do zabytków na tamtym terenie:

- 15/2013: historia i stan zamku w Czerwonogrodzie koło Zaleszczyk
- 18/2013: o odnowie zabytków lwowskich przez polskich konserwatorów, autor J. Smirnow
- 20 i 22/2013: historia i stan zamku w Czernelicy nad Dniestrem (blisko

Horodenki, patrz mapka na okładce CL 3/13), autorka M. Arsenicz

- 22/2013: tragiczny stan dawnego klasztoru franciszkańskiego w Międzyrzeczu k. Ostroga, autor D. Antoniuk.

➔ Chyba już dzieliliśmy się z Czytelnikami spostrzeżeniem, że w mediach krajowych pojawiła się ostatnio duża ilość życzliwych artykułów, audycji itp. na temat naszych utraconych Ziemi Wschodnich, ich historii, kultury, ludzi, geografii – i to zarówno z dawnych, jak i naszych czasów. Nie mamy oczywiście możliwości obserwowania wszelkich wydawnictw i audycji radiowych i TV, nie wszystkie też nas interesują, ale i tak jest tego na tyle dużo, by uznać, że podzielenie się wiadomościami o nich z Czytelnikami jest pożyteczne. Najczęściej czytane przez nas czasopisma to krakowski „Dziennik Polski” z cotygodniowym dodatkiem „Historia”, sobotnio-niedzielnym numer „Rzeczpospolitej” z dodatkiem *Plus-Minus*, tygodniki „Do rzeczy” i „W sieci” oraz związane z nimi miesięczniki o tytułach „Historia”, ale także o tym samym tytule dodatek do „Uważam Rze”. Uff! A przecież podobny bagaż historyczny proponują dzienniki z innych wielkich miast – z Wrocławia, Poznania, Gdańska itp.itd.

Wracając do wymienionych czasopism: w „Do Rzeczy” z 15–21 VII '13 P. Gursztyn zamieścił *Kamieniec Podolski śladami Wo-*

fodyjowskiego; P. Zychowicz omówił ważną książkę Joanny Wieliczki-Szarkowej *Wołyń w polskiej krwi*, a w nrze z 18–24 XI'13 I. Zalewski: *11 listopada? Tylko we Lwowie*. W dodatku „Historia” 1/2013 do tego tygodnika znalazł się artykuł E. Siemaszko *To UPa ponosi winę* (chodzi o przesiedlenie Łemków po II wojnie), w 9/2013 T. Stańczyka *Nie ma jak batiar*, a w 10/2013 A. Ziolkowskiej-Boehm *Pamięć o nienarodzonej z Wołynia* i M. Rosolaka *Reduta semper fidelis*. W „Historii Uważam Rze” 19/2013 znaleźliśmy wspomnienie M. Wojdyńskiego *Dzieci z lwowskich podwórek* oraz recenzję (pt. *Kresy w sepii i w kolorze*) z książki M.i M. Osip-Pokrywka zatytułowanej niemądrze *Polskie ślady na Ukrainie*. Zamiany tego zapewne polsko-ukraińskiego małżeństwa były może dobre, ale trzeba im przypomnieć, że tam – jak pisał Wyspiański – *to jest Polska właśnie...*

W „Dzienniku Polskim” z 19 XI '13 – dodatek „Historia” – czytamy rozmowę red. P. Stachnika z Adamem Macedońskim pt. *Obronili Lwów dla Polski*. Mowa nie tylko o stronie bitewnej, ale i o pomocy Krakowa dla walczących, o budowie Cmentarza Obrońców i jego odbudowie po sowieckim zniszczeniu po II wojnie. W dodatku do „Rzeczpospolitej” *Plus-Minus* z 2–3 XI '13 jest długi, ciekawy artykuł M. Sągolewskiej *Kursy po Corso* (chodzi oczywiście o corso na ulicy Akademickiej).

Prośba o pomoc



Marysia Pyż ze Lwowa choruje już od wielu lat na stwardnienie rozsiane – nasi Czytelnicy wiedzą, co to znaczy! Polskie Radio Lwów pisze: *Ponad rok temu jej sytuacja zdrowotna bardzo się pogorszyła, prawie nie może chodzić. Potrzebuje kosztownej i długiej rehabilitacji w Polsce. Liczne prośby i oficjalne zgłoszenia z prośbą o pomoc do władz i sponsorów radiowych nie przyniosły żadnego rezultatu. Jako matka dwuletniej Sylwii oraz nasza koleżanka radiowa nie może zostać sam na sam z chorobą. Leków na tę chorobę nie ma ani w naszym kraju (tzn. w państwie ukraińskim), ani w żadnym innym. Jej jedyną szansą na powrót do zdrowia i normalnego życia*

jest długoterminowa rehabilitacja w polskich specjalistycznych i przystosowanych do tego placówkach. W obecnej sytuacji ekonomicznej na Ukrainie nie ma mowy o pokryciu chociaż jednego kursu rehabilitacji ze środków własnych.

Wszystkich ludzi dobrej woli prosimy o jakąkolwiek pomoc finansową. Tel. kontaktowy: **+380 676 736 381**, e-mail: **marysia72002@mail.ru**

Pomoc finansową można wpłacać na konto Fundacji Charytatywnej Pomoc Polakom na Kresach im. Księdza Doktora Mosinga:

Konto **BGŻ SA: 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700**

z dopiskiem – **Maria Pyż**

Siedziba: ul. Olbrychta 8/9, 65-823 Zielona Góra

NIP: 9291845734 Regon: 081008180,

KRS: 0000406857

www.fundacjamosinga.zgora.eu

e-mail: galicja.mosinga@wp.pl, tel. 509 898 039

Na I s. okładki:

ARCYBISKUPI-METROPOLICI ŁACIŃSCY HALICCY I LWOWSCY EPOKI STAROPOLSKIEJ

1. BŁ. JAKUB STRZEMIĘ [STREPA] (ok. 1340, rodem z Ziemi Krakowskiej – 1409 Lwów). Franciszkanin, nauki pobrał w konwencie krakowskim, 1385 gwardian we Lwowie. Od 1399 arcybiskup-metropolita w Haliczu. Twórca zrębów sieci parafialnej na tamtej ziemi, wszczął budowę późniejszej katedry lwowskiej, ale nie doczekał przeniesienia stolicy. Beatyfikowany 1790.

2. GRZEGORZ Z SANOKA (ok. 1407 pod Sanokiem – 1451 Rohatyn). Studia na uniwersytecie krak., został nauczycielem synów wojew. Tarnowskiego, potem z nim wziął udział w bitwie pod Warną. Wszedł do stanu duchownego, podróżował, rozpoczął twórczość poetycką. Ok. 1440 objął wykłady na uniwersytecie krak., wprowadzając doń jako pierwszy ducha renesansowego humanizmu. W 1451 powołany na arcybiskupa-metropolitę lwowskiego. Tam zadbał o podniesienie stanu materialnego archidiecezji i kleru, rozwinął szkolnictwo. Zbudował zamek w Dunajowie, stworzył tam pierwszy w Polsce, wzorem włoskich, humanistyczny dwór.

3. WACŁAW HIERONIM SIERAKOWSKI (1699 lub 1700 w wojew. krakowskim – 1780 Obroszyn). Studia na uniwersytecie krak. i seminarium misjonarskim w Łowiczu. Po święceniach – stanowiska w różnych miastach, a w Krakowie – opiekun skarbcza regaliów. Od 1739 biskup kamieniecki, potem przemyski, od 1759 arcybiskup-metropolita lwowski. We Lwowie dokonał istotnych zmian: parafię katedralną podzielił na sześć, a w archidiecezji liczbę dekanatów powiększył z 6 do 12. We wnętrzach katedry dokonał istotnych zmian artystycznych, usuwając wiele wątków gotyckich na rzecz rokokowych, ale posługując się najwybitniejszymi architektami i artystami.

LISTA OFIARODAWCÓW (11)

na wspomnienie wydawnictwa kwartalnika CRACOVIA–LEOPOLIS

Zofia Dudrówna, Kraków; Anna Chwalibogowska-Krzysztoforska, Tarnów; Tadeusz Kukiz, Wrocław; ks. Tadeusz Tomasiuk, Dokudów; Jerzy Wolańczyk, Rokietnica

Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym.

Czasopismo Oddziału Krakowskiego

Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nac.)

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzińskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od redakcji OSTATNI MOMENT	Archiwum II „Rzeczpospolita”	33
Rok Herberta Zbigniew Herbert DO RZEKI	Poezja Kornel Makuszyński 1 DO KOBIETY POLSKIEJ	37
Andrzej Kaliszewski ***	Proza 1 Aleksander Kalmus PROFESOR	38
Rocznica Obrony Lwowa 1918 Ks. Józef Wołczański OD OBROŃCÓW LWOWA CHCEMY UCZYĆ SIĘ...	Kultura ♦ Nauka 2 KONFERENCJA NAUKOWA – abp JÓZEF TEODOROWICZ	42
ZMARŁ WOJCIECH KILAR	6 W ZAKOPANEM I STRYJU NIE ZAPOMNIANO O MAKUSZYŃSKIM	43
Paweł Pencakowski TYLKO WE LWOWIE (1)	7 GRÓB ALEKSANDRA BRUCKNERA ZAGROŻONY	43
Historia	Z tamtej strony	
Jolanta Załęczny PAMIĘĆ POWSTANIA STYCZNIOWEGO WE LWOWIE	10 Andrzej Chlipalski SZKOŁA ŚW. MARII MAGDALENY KOŚCIÓŁEK Z JAZŁOWCZYKA URATOWANY	44
Andrzej Kobak KAROL SZAJNOCHA, PORTRET ROMANTYCZNEGO HISTORYKA	12 Romana Żukowa WYCIECZKA DO LWOWA I NA WOŁYŃ	47
Stanisław Bołdok LWOWSKIE ŚRODOWISKO PLASTYCZNE OD POCZĄTKU XIX w.	15 W Krakowie i dalej Krzyszyna Palenica ZIAZD 25-LECIA WE WROCŁAWIU	49
Rozmowy		
Janusz M. Paluch ROZMOWA Z KS. ALFONSEM GÓROWSKIM	18 Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	50
Ziemia polskiej kultury		
Piotr Stefaniak DZIEJE NAJSTARSZEGO WE LWOWIE KLASZTORU ŻEŃSKIEGO... (2)	31 Prośba o pomoc Errata	60
Bogna Wernichowska LWÓW SIĘ BAWI	34 Lista Ofiarodawców Podziękowanie	III